№ 78. Warszawa, dnia 15 (27) Września 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

KRYTYKA I PAMFLET.

Każda społeczność która skutkiem wielkiego jakiegoś wstrząśnienia, zachwiała się w swych posadach, nie od razu szuka w saméj sobie przyczyny kataklizmu. Podobna w tém do pojedynczego człowieka, przypisuje najprzód zewnętrznym, niezależnym od niéj przyczynom burze które nad nią przeciągnęły; dopiero kiedy ogłuszona, obezwładniona czuje jednak, że życie całkiem z niéj nie uciekło, zaczyna badać ten szereg pobudek, który ją pchał na niebezpieczne wyżyny, wbrew temu prostemu pewnikowi fizycznemu, że w najwyższe szczyty piorun najłatwiéj uderza. Peryod takiego wejścia w siebie, jest to chwila panowania krytyki — chwilę taką my od lat kilku przechodzimy.

Z przyczyn, których tu wyłuszczać nie widzimy potrzeby—berło téj krytyki musiało się dostać wyłącznie w ręce prassy,—kontrolla społeczna z natury rzeczy przypadła w udziale pismom peryodycznym... zaczęło się tedy rozglądanie po samych sobie, obliczanie z siłami, pobudzanie do życia obezwładnionych całych organów ustroju społecznego, słowem mozolna praca przywrócenia do życia organizmu sparaliżowanego od uderzenia piorunu.

Działanie krytyki, niby ostrego lancetu, który pewne rany rozszerzał dla łatwiejszego zagojenia, wycinał części zgangrenowane,—zbawienne było ile razy instrument pozostawał w rękach wykształconych lekarzy, dbających przedewszystkiem o zdrowie pacyenta, nie o świetność operacyi. Na nieszczęście takich lekarzy mamy nie wielu—a coraz więcéj za to przybywa nam partaczy cyrulików, o których śmiało można powiedzieć, że im się lancet dostał, jak szalonemu miecz w rękę.

Nie ma trudniejszego a zarazem łatwiejszego zadania nad krytykę.

Trudną jest krytyka dla tych rzadkich myślicieli, którym nauka rozświeca jedną nader ważną prawdę: że na każdy objaw życia czy to w jednostce, czy w społeczeństwie, składa się takie mnóstwo czynników, iż nieostrożne pominięcie jednego z nich wpływa na spaczenie oceny całego objawu.

Łatwą jest krytyka dla tych co stosunki społeczne wtłoczyć chcą w ramki jakiegoś niedojrzałego systemaciku, zbudowanego z formułek dyletantyzmu naukowego; co przydatność lub nieprzydatność do roboty społecznéj całych warstw towarzyskich, mierzą artykułami stworzonéj przez siebie konstytucyi socyologicznéj, dla tych nareszcie, którzy w życiu nie widząc nic dodatniego, wszędzie natomiast dostrzegają *kwestye*, a pod pozorem *rozbierania* tych kwestyi rozkładają swoją własną społeczność na warstwy, warstewki, kółka, kółeczka, obozy, oboziki, przeciwstawiają jedne drugim, sieją rozbrat i antagonizmy,—pewni, że spełniają posłannictwo encyklopedystów XIX wieku.

Najłatwiéj nareszcie krytyka przychodzi indywiduom, które jak pewne pasożyty w brudzie się tylko lęgną, które poziome swoje instynkta, mizerne osobiste namiętności przenoszą na pole publiczne, a budząc uśpione na dnie duszy ludzkiéj zwierzęce popędy, dają im na pastwę zatrutą strawę, która zowie się *skandalem*.

Dla lekkomyślnéj, najczęściéj bezmyślnéj gawiedzi—wszystko to zowie się krytyką,—baczny spostrzegacz musi rozróżnić krytykę od *pamfletu* i *skandalu*.

Pomiędzy krytyką rzeczywistą a pamfletem ta najgłówniejsza zachodzi różnica: że pierwsza zwraca zarówno uwagę na cechy dodatnie i ujemne wziętego pod rozbiór przedmiotu, wymienia co w nim dobrego być może, a wytykając słabe strony, wskazuje zarazem środki naprawy, lub sama nawet ową naprawę przedsiębierze;—pamflet zaś z założenia o przymiotach dodatnich czynności ludzkiéj, dzieła lub danego objawu życiowego zamilcza, a często nawet tak się zapędza że na złe je tłómaczy; w każdym razie wyszukuje tylko rzeczywistych lub urojonych stron słabych, nad niemi się rozwodzi, przeżuwa, drwinkuje, a sam od siebie nic na to miejsce nie stawia. Krótko mówiąc krytyka prawdziwa rozkłada tylko na to, żeby budować; pamflet zaś burzy jedynie dla tego ażeby burzyć, lub też osiągać cele nic wspólnego nie mające z rozbieranym przedmiotem. Gdy ten ostatni wypadek ma miejsce, pamflet zstępuje o jeden szczebel niżéj i staje się skandalem. Zdawałoby się, że teoretyczne różnice między temi trzema formami kontroli społecznéj dość są wyraźne—a jednak czem się dzieje, że społeczność nasza zdaje się zupełnie nie zdawać sobie sprawy z tych rozróżnień!—Czém się dzieje, że pamfleciarstwo i skandal ze szkodą krytyki rozwielmożniły się w literaturze peryodycznéj, poczytnością swoją dając świadectwo niewątpliwego stępienia zmysłu krytycznego?

Stało się to według zwykłych praw rządzących społeczeństwami, które szukają sobie nowych warunków bytu. Hołdując przez chwilę zasadzie wytworzonéj po za obrębem życia czysto społecznego, i przekonawszy się po szeregu bolesnych doświadczeń o złudności téj zasady,—rzuciliśmy się z zamkniętemi oczami za popędem tych ślepych instynktów reakcyjnych, które życie zmieniają w jedną troskę samozachowania,—zwątpiliśmy o wszelkich zasadach. Życie dla życia, jak sztuka dla sztuki stało się hasłem ca-

łego społeczeństwa, któremu wrodzona lekkość ułatwiała przyjęcie téj dewizy. Rozumie się że dla takiego usposobienia, nawoływania poważnéj dodatniéj krytyki, musiały być głosem wołającego na puszczy.

Wtedy to znaleźli się tacy co wzięli się do najskuteczniejszéj, jak sądzili, w tym razie broni, do szyderstwa —wciskając do oceny bezcelowego życia naszéj społeczności pierwszy pierwiastek ujemny. Przeciwko drastycznemu temu środkowi niebyśmy nie mieli; symptomata chorobowe leczą się i truciznami, ale leczenie takie, przypuszczając nawet w leczących dokładną znajomość chorego organizmu, wymaga jeszcze i doskonałéj znajomości natury zadawanego środka i jego toksycznych własności. Otóż nic zdradniejszego w pewnych stanach patologicznych społeczeństwa nad szyderstwo, nad taki śmiech który jest reakcyą nieszczęść. Potrzeba śmiechu z czegokolwiek i za jakąbądź cenę narzuca się wtedy ludziom fatalném prawem—a w takim razie, śmieją się oni bardzo często sami nie wiedząc z czego, niejednokrotnie z tego nad czém niegdyś płakali,—prawie zawsze z siebie samych. To rozdwojenie człowieka na dwie połowy z których jedna śmieje się z drugiéj, dziać się może tylko z ujmą jego godności moralnéj i z tém to właśnie nie obliczyli się rycerze krytyki ujemnéj. Ale bo i jakże obliczać się mieli ludzie którym powierzchowność sądu, brak gruntownéj nauki wcale liczyć nie pozwalały? Płytkość zapatrywania się tych krytyków najlepiéj uwydatniła się w téj zasadzie, którą za podstawę swojéj filozofii negatywnéj przyjęli: że społeczeństwo może od pewnéj chwili stać się gładką, wypolerowaną przez ciężką rękę losu, powierzchnią—rodzajem *table rase*, na którym nowy duch czasu nowe wypisuje dążenia. Do rycia na téj tablicy która im się niezapisaną wydawała, stawali ludzie z najlepszemi może chęciami, ale z małym zasobem wiedzy,—krytyka stawała się rzemiosłem tak łatwém, że nareszcie im kto więcéj popełniał błędów ortograficznych, tém gorliwiéj zajmował się prawodawstwém socyologicznem. Obraz tego pigmejskiego ruchu wybornie skreślił autor artykułu w „Opiekunie Domowym" p. t. „Pozowanie." „Jeżeli ktoś potrafi złożyć do kupy kilkanaście szumnobrzmiących frazesów starając się dźwiękiem wyrazów jak można najlepiéj wytłómaczyć nieobecność myśli — pozuje zaraz na wielkiego myśliciela w sferze krytyki, estetyki lub co najważniejsza w kwestyach społecznych. Wielkich krytyków i jeszcze większych pisarzy socyalnych mamy podostatkiem, szkoda tylko, że żadnéj korzyści społeczeństwu nie przynoszą, bałamucąc pojęcia i podając wymysł rozmarzonéj i napuszonéj wielkością swoją głowy, za ostateczne wyniki wiedzy. Końcem stalowego pióra rozstrzygają oni najzawilsze kwestye czasu, nie troszcząc się wcale co na ich frazesa powie zdrowy rozsądek lub wiedza prawdziwa. Absolutni w swych wyrokach, omylność przypuszczają we wszystkich prócz samych siebie; oni jedni są nieomylni. Przemytnicy fałszu lub twórcy samorodnéj filozofii, nie oglądającéj się na nic i na nikogo, wzruszają posady społeczeństwa dla zadowolenia swego samolubstwa, dla postawienia na swojem: dla pozowania na wielkich."

Z przytoczonego ustępu czytelnik dowiaduje się nietylko kto działa na tém polu pseudo-krytyki, ale i jak działa. Traf zdarzył, że chwila pierwszego przebudzenia się naszego z odrętwiałości, zeszła się z chwilą rozkwitu filozofii pozytywnéj na zachodzie. Koryfeusze téj metody która takie dzielne przysługi oddała nauce, objęli cały obszar wiedzy, i jak to zwykle bywa z wysokości spoglądali a nawet dziś spoglądają na laików, którzy opierając się rzekomo na danych przez mistrzów zdobytych, ćwiczą fantazyę swoją w tworzeniu karłowatych systemacików społecznych posługujących albo interesom chwili, lub co gorzéj poziomym instynktom. Mistrze tu nic niewinni: ulegają oni ciężkiemu nieraz prawu tworzenia szkół i szkółek. Ale cóż winna społeczność spytacie, która ma sobie narzucone lekcye takich szkółek często bardzo elementarnych? Odpowiadamy na to że nie ma jéj co żałować, bo lekcyj tych nie słucha.

Cóż więc robi?

Śmieje się.

I inaczéj być niemoże. Krytycy negatywni muszą staczać się po fatalnéj pochyłości którą sami przygotowali. Publiczność niechce brać udziału w walce pozytywistów z niepozytywistami, i żadną miarą zrozumieć nie może jakim sposobem metoda która wszędzie gdzieindziéj jest tylko jedną z tysiąca metod mających ze wszystkiemi jednakowe prawa obywatelstwa,—u nas zyskała doniosłość przepisów katechizmowych i zespoloną została z pracą podźwignięcia się społecznego? Ponieważ więc treść sama jest jéj obojętną,—trzeba ją znęcić formą, szyderstwem, śmiechem. Z początku ośmieszaniu ulegają tylko zasady obozu przeciwnego... walka staje się komiczną — potém zjadliwą — potém krwawą, bezstronność znika—wszystko jest złe co przeciwnik napisał lub powiedział: pamflet zaczyna kwitnąć. Wszelka dodatność rozpływa się gdzieś w mgłach sentymentalizmu — negacya brutalna jaskrawa, czasem cyniczna zabarwia każde słowo polemiki.

A publiczność?

Śmieje się.—

Dotąd jednak mieliśmy do czynienia z *dobrą wiarą*. Jeszcze krok jeden a wejdziemy w ciemną, krętą krainę *złéj wiary*, w któréj błądząc po omacku manowcami niewiemy nigdy zkąd cios wypadnie. Do przestąpienia tego kroku dopomaga rozdrażniona już namiętność, ów ludzki pierwiastek bez którego nigdy prawie nie obywa się walka o zasady. Namiętność to podszeptuje że gdy niewystarcza szyderstwo z przekonań przeciwnika—skuteczném będzie ośmieszenie jego *osoby*; w pojęciu pędzącego już prędkością nabytą krytyka, *osoba* nie wyznająca jego zasad jest nieużyteczną a nawet szkodliwą. Ze sfery oderwanych pojęć przechodzimy w małomiasteczkowy patykularzyk *osobistości*—nie zasady występują przeciw zasadom—ale po prostu p. X. bierze się za bary z p. Y... Przeciwnik staje się *wrogiem*—dla przygnębienia wroga każdy środek dobry... a gdyby inwencyi zabrakło... to pod ręką jest potwór zawsze gotów usłużyć tym co potrzebują jego plugawéj śliny... skandal.

A publiczność... zawsze się śmieje.

Wszystko to dzieje się stopniowo zapewne bez woli tych co pierwsi negacyę wzięli za podstawę krytki—i tak nieznacznie, że nawet by się temu wierzyć nie chciało gdyby nie uderzający przykład ubiegłych paru tygodni, świadczący wymownie, że znajdujemy się na niebezpiecznym stopniu pamfleciarstwa w literaturze peryodycznéj. Krótki ten przeciąg czasu odznaczył sięsmutnemi faktami *złéj wiary* w części naszéj prassy, Temu coby chciał twierdzić, że zasady odgrywają tu jakąkolwiek rolę,—postawię zapytanie co ma wspólnego z zasadami zarzut postawiony przez jedno z pism tygodniowych pewnemu pismu codziennemu: zmyślenia faktu zmartwychwstania łowickiego,—wtedy właśnie kiedy rzecz już była wyjaśnioną przez istotnego autora téj bajeczki? Publiczność która się śmieje niechże wie z czego się śmieje, niechże wie że redaktor owego pisma tygodniowego, czyni ze swego pisma organ osobistéj niechęci do redaktora oskarżonego pisma, że niechęć tę przenosi na całe pismo ignorując wszystko cokolwiek w niem znaleźć można uczciwego i obywatelskiego, że tenże sam redaktor pisma tygodniowego pomawiał już i zapewne pomawiać jeszcze będzie protestujących o filiacye z owém pismem codziennémi o interesowaną obronę tego co im się godném obrony wydało? Gdzież tu zasady? gdzie przekonania? ślepy tylko niedojrzy osobistości i prywaty. Można naprzykład przykryć się płaszczykiem zasad, pisząc jak to powyższe pismo tygodniowe uczyniło przeciwko zamieszczeniu rysunku wyobrażającego stary kufel; zabytek archeologii, wolno jest nie mieć wyobrażenia o archeologii i na podstawie téj nieświadomości prawić androny o jéj nieużyteczności—ale *niewolno* z powodu kufla podsuwać czytelnikom insynuacyi rzucającéj cień na charakter prywatny przeciwnika,— *nie wolno* tem więcéj, że autor téj insynuacyi *nie wierzył* w jéj prawdziwość. Cóż tu daléj powiedzieć o przekręceniu przez jedno pismo tekstu artykułu nadesłanego wymierzonego przeciwko drugiemu, dla tego tylko że artykuł przyzwoicie i z godnością napisany, nie zawierał nic uwłaczającego dla tego ostatniego? Co nareszcie powiedzieć o zuchwałości z jaką pismo skandaliczne mianujące się humorystycznem, podaje własne kłamstwa za uchwały sesyjne innych redakcyj — czytelnikom swoim, nie zastanawiającym się nad tem że reporterzy podobnych wiadomości nie mogą mieć wstępu do redakcyj które skandalu nie zamieściły w programie swéj działalności.

Powiedz teraz czytelniku z czego my się śmiejemy?

Są społeczeństwa ucywilizowane, a raczéj przecywilizowane w których tak śmiech bezmyślny idyotyczny, jak przedmiot jego skandal, należą do bardzo zwykłych objawów; objawy te jednak mają oddzielne swoje odpływy których przedsiębierstwo przyjmują na siebie: w literaturze peryodycznéj właściciele organów stanowiących tak zwaną *petite presse*; w literaturze pamfleciarckiéj politycznéj, sprzedajne pióra służące za pieniądze wszystkim stronnictwom; w teatrze—Offenbach i inni krzewiciele prostytucyi scenicznéj. Jeżeli brudna taka, cuchnąca piana unosi się nad potężną falą życia narodowego, szerokiem korytem płynącego, można się o nią nie troszczyć,—fali téj nie zmąci ona, ani mętami swemi nie zabarwi. Ale jeżeli, jak to u nas ma miejsce, temi samemi kanałami z konieczności przepływa myśl zdrowa i koncept cyniczny—i prąd idei obywatelskiéj i rynsztokowe brudy paszkwilu, — należy nam się doprawdy rozejrzeć i zastanowić, czy własną lekkomyślnością nie przyczyniamy się do zatrucia i tak skąpych ujść życia publicznego. Utrzymanie linii demarkacyjnéj między prawdziwą krytyką, pamfletem a skandalem, to jedyny środek do tego wejścia u siebie. Zachowanie pewnéj arystokracyi myśli jest tu tak niezbędne, jak zgubną się staje niwelująca *demokracya* śmiechu. Trzymając się téj zasady śmiać się nie przestaniemy— ale będziemy wybierać przedmiot naszéj wesołości a wtedy pozbędziemy się rozkładowego pierwiastku z naszego organizmu,—bo wyszlachetnienie śmiechu,—to śmierć skandalu.

Takie oczyszczenie krytyki przyczynić się musi dzielnie do oparcia jéj na innych podstawach; na podstawach dodatnich.—Ujemność odegrała swą rolę — była ona po prostu reakcyą ogólnéj

tolerancyjnéj gnuśności, która w prasie naszéj zyskała nawet techniczną nazwę *wzajemnéj adoracyi*. Ale oddziaływanie przeciwko téj usypiającéj instytucyi, dopóty oddawało istotne usługi, — dopóki dostawszy się w nieostrożne, a co gorzéj nieumiejętne ręce, nie wytworzyło w naszéj literaturze peryodycznéj *towarzystwa wzajemnéj nienawiści*. Z dwojga złego, doprawdy nie wiemy które gorsze,—to przecięż pewna że różnica tylko w stopniu zachodzić może—treść rzeczy zła jest tu i tam. Na nienawiści nic jeszcze nie zbudowano, a nam krzątać się trzeba w pracy społecznéj, biorąc w rachunek warunki obecne siłą okoliczności wytworzone, i nie odrzucając materyału przez przeszłość nam pozostawionego... dla tego tylko że nie nowy. Pracę tę, zdaniem naszém znacznie by ułatwiło zgodzenie się przynajmniéj w jednym punkcie, to jest w punkcie zapatrywania się na zadanie prasy u nas. Przed kilku miesiącami wypowiedzieliśmy w téj materyi nasze zdanie w następujących wyrazach: „Prasa nasza ma nie tyle może uganiać się za nauką o ile stać na straży uczciwości i sumienia—sztandaru pod którym bez względu na te lub owe obozy naukowe grupować się winny wszystkie siły umysłowe w nowém społeczeństwie." Do powtórzenia tych słów upoważnia nas przekonanie że nietylko streszczają one w naszém pojęciu całą kwestyę którą tak długo zajmowaliśmy czytelników „Wieńca", — ale z naszéj strony stanowić mogą pewien program pracy dodatniéj który chętnie poddajemy pod sąd *dodatniej* krytyki.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

IV.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 77*).

Pobiegłem do rzeki, co tam płynęła o kilka set kroków, przyniosłem mu wody, otrzeźwił się trochę, ale sam widział że mu do śmierci nie daleko. Ja byłem z nim do ostatniéj chwili, aż umierając wyznał mi że miał te oto pieniądze zakopane w garnczku pod kominem w miejscu które mi wskazał; prosił bym go za to przystojnie pochował, dał na mszę świętą za jego duszę, a resztę wziął sobie. Dopełniłem święcie jego woli, znalazłem dużo złota ale cóż mi było po niém? wiedziałem dobrze iż serca za nie, nie kupię. Mogłem wrócić do Połoski, z pewnością ona uśmiechałaby się do mnie jak dawniéj, piesciła i przymilała się. Dla mnie już to wszystko było za nic; czułem, że to będzie kłamstwo tylko i obraza bozka. Nosiłem pieniądze i nie miałem co z niemi zrobić, nawykłem już do żebraczego żywota a zresztą gdzież mogłem osiąść? wszędzie dla mnie była pustka. A jak spotykałem ludzi, tom nieraz sobie myślał, kiedy oni pogardliwie patrzyli na moje łachmany: Gdyby oni wiedzieli że ja mam pieniądze, coby też poczęli? I czytałem wyraźnie w ich twarzach, że jedenby mnie okradł, drugi coś wycyganił, a trzeci, Boże odpuść, i zabiłby może. Więc nie chciałem być ludziom złą pokusą, schowałem złoto głęboko, myśląc: Oj przydadzą się gdzieś w godzinę śmierci, na rozstajnych drogach! oddam znowu temu co mnie wspomoże. A tak niech idą teraz na pociechę biednym, na otarcie łez, a potém umrzeć jednaka bieda, samemu czy przy ludziach, byle sumienie było czyste. Toć przecięż Bógraczy przyjąć do swojéj chwał,y nie bacząc, że przyjazna ręka oczu nie zamknęła a ciało pewno ptacy niebiescy rozszarpią...

Umilkł skończywszy tę powszednią powieść a ręce opuścił na kolana i patrzał w ziemię smutnemi oczyma.

Kobiety słuchały go wstrzymując oddech, zaciekawione powieścią, nie rozumiały filozoficznych uwag, jakie nasuwała starcowi. On przetworzył się w ich oczach w jedną z tych legendowych postaci, o których czasem bają ludzie, co wiele świata widzieli; przypatrywały mu się z rodzajem zabobonnego strachu.

W końcu widząc, że nie mówi nic więcéj, że pocieszać Dąbkowéj nie mają już potrzeby, zaczęły jedna po drugiéj wynosić się z chaty, roznosząc dziwną wieść po wsi; wieść ta jednak niedoszła do Plaskotów, bo cała rodzina wybrała sie do powiatowego miasta. Natomiast Wickową obeszła ona najmocniéj. Zazdrosna jak wszyscy ludzie jéj podobni nie mogła sobie darować, że tam była korzyść, któréj nie potrafiła ani przewidzieć, ani osiągnąć. Cudze szczęście trapiło ją na równi z niepowodzeniem własném, tém bardziéj jeszcze w domu, w którym nie posłuchano jéj rady, gdzie ona przepowiadała wszystkie biedy. Myśl, że blada Hanka, osobliwie niecierpiana przez nią, mogła zostać żoną Stacha, była dla niéj nad wszystko nieznośna. Chciała zaraz lecieć do Plaskociny, bo wiedziała, że ją jedną wieść ta zarówno zmartwi i nie żałując czasu i trudu, nazajutrz raniutko wybrała się aż do miasta, by ktoś nie ubiegł jéj w donieseniu. W mieście jedak nie zaraz odszukała swojéj kumy. Plaskocina miała rzeczywiste kłopoty: Adamek wymawiał jéj że go oszukała, przeklinał godzinę, w któréj ożenił się z Maryśką; daremnie przedstawiała mu niemożność, on temu wierzyć nie chciał. Maryśka też jak na złość zaczęła płakać, i zdawała się sama nie wiedzieć któréj strony trzymać się miała. Wprawdzie nie czyniła tego wcale z miłości dla męża, ani z poczucia uczciwości i obowiązków, bo tych wszystkich rzeczy nie można się było po niéj spodziewać: bała się tylko pośmiewiska i obmowy ludzkiéj. Obiedwie z matką były w strachu, czy nie przemądrowały w swoich zamiarach. Z drugiéj strony nie miały wcale ochoty wykupywać Adamka: najprzód żal im było pieniędzy, powtóre Adamek nie nadał się do nich wcale, był to chłopak niezbyt mądry nieponętny, ale uczciwy, niezdatny do kłamstwa i wykrętów, w których tak celowała Plaskocina; była więc rada w duchu, że zięcia pozbywała się z domu.

Wickowa szukała jéj próżno po całém mieście, aż wreszcie ledwo znalazła w karczmie na przedmieściu, gdzie obiedwie z córką kłóciły się ząb za ząb, wyrzucając sobie przeszłość na wzajem.

— Było mnie za mąż nie wydawać, mówiła Maryśka; teraz zostanę ni panną, ni wdową, na ludzki śmiech i poniewierkę.

— A żebyś ty była głupstw nie robiła, wołała rozgniewana Plaskocina, toby się o ciebie wszyscy chłopcy z okolicy rozbijali, a tak co? ledwie dostałaś głupiego Adamka.

Córka na to wzruszyła ramionami w sposób dowodzący jasno, iż słowa matki nie były wcale świętemi dla niéj.

— Ot gadacie, odparła; a czyście sami nie kazali pisarza nie zrażać, przez niego mieliście więcéj kwitów niż inni, co codzień chodzili do roboty, i zagony pod kartofle i len dostaliśmy za darmo: Ho, ho! mądrzyście wy, ale nie na swoją szkodę.

Tym sposobem sprzeczka szła coraz żwawiéj, i nie wiadomo na czémby się była skończyła gdyby nie przerwało jéj nagłe wejście Wickowéj.

— A toż co kumo? zawołała Plaskocina; cóż za dziw was tu sprowadza?

Wickowa była zadyszana; pierwszy rzut oka i dosłyszane słowa świadczyły, że tu nic nie wiedziano jeszcze o nadzwyczajném wydarzeniu zaszłém we wsi.

— Oj dziw, dziw! powtórzyła, nie wydając jeszcze tego z czém przyszła. Jak się dowiecie to aż was mrowie przejdzie; niech tylko odetchnę i krzynkę wódki wypiję.

Ciekawa Plaskocina kazała jéj natychmiast półkwaterek wódki postawić, posadziła na ławie i czekała niecierpliwie dalszych objaśnień. Wickowa wypiła, i przez chwilę namyślała się od czego zacząć.

— Wy tu jesteście w mieście, wyrzekła wreszcie, a tyle nie wiecie co ja siedząc w Malińcach. Nie słyszeliście pewno którego rekruta wykupiono.

Matce Maryśki niemiłe wcale było to wspomnienie, to też oburknęła się zaraz:

— Dajcie mi tam pokój z rekrutami, mam ja tu dość swoich kłopotów; chybaby dla Adamka kto pieniądze złożył.

— A ktoby tam dbał o tego niezdarę? jak go sobie wykupicie, to go będziecie mieli, bo on i połowy tych pieniędzy nie wart. Ja mówię o Stachu Dąbku.

Oczy Plaskociny rozwarły się szeroko.

— O Stachu? powtórzyła, nie mogąc zrozumieć kumy.

— A nie mówiłam! roześmiała się Wickowa: siedzicie tu nie wiedzieć po co! Wszakże Stacha wykupiono tylko co, i już poleciał do Maliniec spotkałam go na drodze ani się obejrzał tak mu pilno było.

Posłyszawszy tę nadzwyczajną wiadomość, Maryśka zbliżyła się także i słuchała nastawiając uszu.

— A któż go wykupił? zawołała prawie ze złością Plaskocina, czy ta Dąbkowa płacząca wiecznie, miała gdzie skryte pieniądze? czy sam dyabeł się w to w mieszał?

Wickowa zaczęła kiwać głową tajemniczo.

— Oj nie dyabeł, wyrzekła, ino stary Antol, ojciec wasz.

Słysząc to Plaskocina zerwała się z miejsca. Opowiadano jéj rzeczy którym wierzyć nie mogła, a jednak musiała to być prawda, bo kłamstwo wydałoby się w téj chwili i nie mogło mieć żadnego celu.

— To być nie może! zawołała; mój ojciec nie miał złamanego grosza.

Widać fakt że ojciec jéj wydał dla obcych tak wielką summę ubódł ją do żywego, pragnęła zaprzeczyć mu koniecznie. Wickowa zrozumiała to doskonale i podchwyciła z ukrytą radością.

— Nie miał, to prawda; toż widno że nie musiał mieć skoro puścił się na chleb proszony, aleć dorobił się zkądeś, bo pono pokazywał u Dąbkowéj wory złota.

Wieść przechodząc przez usta ludzkie doszła tych rozmiarów.

— Jezus Marya! wory złota! zawołała Plaskocina załamując ręce.

Teraz dopiero zaczynała gorzko żałować tego co uczyniła: bogactwo ojca było dla niéj największą karą, jedyną jaką zrozumieć mogła. Córka jéj nawet obruszyła się na to.



SOBIESKI POD WIEDNIEM. Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka.



Słomki.

— Ot, szepnęła wzruszając ramionami swoim zwyczajem: Wickowa nie wiedzieć co plecie, a wy wierzycie.

— Wierzta czy nie wierzta, odparła ta ostatnia pewna swego. Co jest to się przez to nie odmieni.

Co jest! więc był to już fakt nieomylny, Plaskocina przyjąć go musiała, próżno było zżymać się przeciw rzeczywistości, miała ona zbyt wiele praktycznego zmysłu by tego nie ocenić. Cios był bolesny, ale po chwili rozwagi pomyślała sobie, iż ona także mogła z tego bogactwa skorzystać. Czyż Antol byłby nieubłagany dla żałującéj córki? a czyż ona teraz nie żałowała z całéj duszy złego postępku swego, i nie była gotowa naprawić go z pokorą synowską?

To znowu postanowienie natychmiast chciała w czyn wprowadzić; czuła instynktownie, że każda chwila była droga.

— I gdzież jest mój ojciec? zapytała zwracając się do Wickowéj.

— Albož ja wiem? odparła; spadł jak piorun do chaty Dąbków, spytajcie ich, oni muszą wiedzieć.

— Ot, wyrzekła, ot stało się nieszczęście że Maryśka nie poszła za Stacha.

W téj chwili nie przyszło jéj na myśl, że właśnie Antol pierwszém zjawieniem swojém rozerwał zamierzone małżeństwo. Ale za to Wickowa przypomniała sobie zaraz, jak wtedy odrzucono jéj radę.

— Ha! odparła, a nie mówiłam wtenczas że trzebaby ojca przeprosić? Nie chcieliście mnie słuchać, a teraz żałujecie, żałujecie tylko poniewczasie.

Plaskocina nie odpowiedziała nic, wązkie jéj wargi były zaciśnięte a oczy utkwione w ziemię zdawały się szukać drogi życia tak okropnie zmylonéj. Pierwszy raz była zawstydzona niezręcznością swoją. Jednak próżne żale nie były w jéj naturze: po chwili namysłu poczęła składać rzeczy jakby wybierając się w podróż, pilno jéj było szukać śladów starego żebraka. Wickowa miała słuszność: Dąbkowie musieli wiedzieć gdzie się udał, musieli zachować z nim stosunki, najprędzéj zatrzymali go przy sobie. Sądziła według własnego instynktu że podobnéj zdobyczy nie wypuszcza się z ręki. Dała jeszcze instrukcyę córce, która z ojcem zostawała w powiatowém mieście a sama z Wickową śpiesznym krokiem skierowała się do Maliniec.

Szła szybko pędzona niepokojem wypytując się po drodze u przechodniów aż wreszcie nabyła przekonania, że stary Antol ze Stachem poprzedzał ich o kilka godzin zaledwie.

Obie kobiety milczały przez drogę: Plaskocina układała w myśli plany dalszego postępowania; Wickowa wiedziała iż próżno byłoby jéj przerywać, zazwyczaj w takich chwilach nie zważała na drugich. Jednak jakkolwiek pośpieszały, nad wieczorem zaszły dopiero do domu.

W chacie Plaskotów była tylko wyrobnica mieszkająca przy nich. Gospodyni nie dała sobie chwili odpoczynku, zdawało jéj się, że każda minuta zmniejszyć może skarb ojca który w jéj wyobraźni nabierał fantastycznych rozmiarów, zajrzała tylko do izby, nie poszła nawet do obórki zobaczyć czy parobek pamiętał o dobytku, zrzuciła tołub barankami podbity a natomiast wzięła chustkę na ramiona i wyszła. Wszędzie było jéj duszno. Pobiegła do chaty Dąbków przecież wejść nie śmiała, obeszła ją w około, zakradła się pod okno i spojrzała wewnątrz. Izba zdawała się płonąć szczęściem, a od kominowego ognia było tam widno jak we dnie. Stara kobieta siedziała na ławie; twarz jéj spracowana, zgnębiona, pełna zmarszczek, teraz promieniała a oczy zamglone spoczywały na przemian na Stachu który stał wsparty o ścianę z założonemi rękoma z wyrazem rozkoszy, i na Hankę krzątającą się około wieczerzy. Wzrok dziewczyny raz wraz odrywał się od tego zajęcia i biegł spotykać jego źrenice, a wówczas rumieniec występował na twarz jéj zwykle bladą.

Był to obraz rodzinny nieskończonego wdzięku ale Plaskocina zrozumieć go nie umiała; ona upatrywała starego ojca a nie spostrzegłszy go cofnęła się szybko i znowu podeszła pode drzwi ostrożnie, czając się prawie.

Mieszkańcy chaty nadto zajęci sobą nie zwrócili uwagi na lekki stuk jéj kroków, a zresztą nie mieli tajemnic, nie lękali się podsłuchania.

Zabiegi Plaskociny nie udały się przecięż: w zbytku szczęścia nie ma słów, oni milczeli, wystarczały im spojrzenia. Nie mogąc się niczego tym sposobem dowiedzieć, kobieta odeszła klnąc po cichu, jak gdyby wadziło jéj cudze dobro. Teraz na prawdę nie wiedziała gdzie się udać.

Chmurna i zła powracała do siebie machinalnie wodząc wzrokiem po widnokręgu, gdy na górze panującéj nad wsią ujrzała postać jakąś wśród krzaków. Tam pobiegła.

Nie omyliła się: stary Antol stał wsparty na kiju i spoglądał na wieś rozrzuconą na wzgórzach i parowach.

Plaskocina śmiało jak zawsze zbliżyła się do niego. Może oschłe jéj serce nie rozumiało dobrze jak on był zraniony, może rachowała na swój dawny wpływ nieograniczony. Więc schylając mu się do kolan, wyrzekła:

— Cóż to, ojcze, pomijacie naszą chatę?

Mówiła to jak gdyby nigdy nic pomiędzy nimi nie zaszło, pomijając umyślnie długie lata rozłączenia, pogłoski o śmierci ojca i swoją własną winę.

Antol stanął jak wryty, mrok nocny ukrywał jego rysy, nie podobna było rozpoznać ich wyrazu, tylko ręce mu się zatrzęsły. Milczał osłupiały. Może w tym głosie ukochanym kiedyś, szukał spazmatycznéj wibracyi, najlżejszego odcienia uczucia, i nie znalazł go. Zresztą łatwo mu było zrozumieć prawdę postępowania córki. Odparł wreszcie:

— Tyżeś to, ty Połośko? — i nazywasz mnie ojcem?

Usta jego drżały tak że trudno było słów zrozumieć, a kij, na którym się wspierał, zarył się w ziemi głęboko, ściskany konwulsyjną dłonią.

— Ja, wyrzekła bezczelnie kobieta, dowiedziałam się że byliście we wsi i pobiegłam was szukać.

Może miał na ustach gorzkie pytanie: odkąd córka zaczęła troszczyć się jego losem? ale nie uczynił go; wiedział dobrze że nie przywiodło jéj tu serce tylko wieść o złocie. Długi czas spoglądał na nią jakby szukał w jéj twarzy tego, czego głos nie wypowiedział. Nakoniec opuścił głowę na piersi i szepnął z niewymownym smutkiem:

— Niech ci Bóg przebaczy Połośko.

Pominął ją i chciał odejść. Krok jego był chwiejny.

To nie odpowiadało wcale zamiarom córki, dla tego wyrzekła zastępując mu drogę:

— Zostańcie z nami chociażby tę noc jedną.

To doprowadziło go do ostateczności. Ona nie zdawała się pojmować nawet wyrządzonéj krzywdy.

— Połośko, Połośko! zawołał ze łzami oburzenia w głosie: gdybyś ty miała choć odrobinę serca leżałabyś u nóg moich błagając przebaczenia, ty nie byłabyś postąpiła tak nigdy, nigdy choćby ci kęsa chleba brakowało—a dziś teraz idź—nie kochałaś mnie, a ja—ja byłbym tobie oddał duszę, życie, zbawienie.

Słowa te były bezładne, zastanowiły kobietę, zrozumiała w nich jednak to tylko, że ojciec mający trzos złota w kieszeni, miał prawo wymagać by się przed nim uniżyła i uczyniła to od razu bez namysłu, bez żadnego przejścia.

— Darujcie, darujcie! zawołała rzucając mu się do nóg. Była u nas bieda straszna myślałam że lepiéj dla was pójść między ludzi. Oj i teraz nieszczęście! Maryśka poszła za mąż, zięcia wzięto do wojska.

Mówiła to wszystko chłodno płaczliwym głosem, ale żadne uczucie w niéj nie odezwało się dla tego ojca, którego była jedyném ukochaném dziecięciem.

On spoglądał na nią czas jakiś zamyślonemi oczyma. Nie miał żadnego złudzenia co do córki, sądził ją sprawiedliwie, przez długie lata przywykł do sieroctwa swego, przecięż teraz wszystkie dawne rany otwierały się i krwawiły mu serce, tak jak w chwili, gdy ją stracił na zawsze.

— Puść mnie szepnął głucho: nie mam już nic. Zapewne słyszałaś żem tu przyniósł skarby; oddałem wszystko, jestem tak biedny jak dawniéj.

Połośka na te słowa podniosła się nagle: ojciec może próbował jéj w ten sposób, może chciał samego siebie oszukać ale córka jego była oględna; nie chciała nic robić na niepewne.

— Oddaliście wszystko powtórzyła z tłumionym gniewem, a cóż poczniecie teraz?

Niedojrzana łza zamigotała w jego oczach i spłynęła z wolna.

— Dotąd, wyrzekł, opiekował się mną Bóg, i daléj spuszczę się na Jego wolę.

— A cóż ludzie powiedzą, zawołała, żeście wspomogli obcych, a swoich opuścili?

— Swoich? szeptał starzec, swoich? ja nie mam swoich na ziemi, oni wszyscy śpią tam na cmentarzu snem wiecznym.

Te ciche, bolesne słowa nie rozbroiły Połośki.

— Więc na to tylko, zawołała, pokazaliście się we wsi, gdzie o was zapomniano, by nam wyrządzić taką krzywdę!

On spojrzał na nią zdumiony tą bezczelnością. Ta kobieta śmiała coś jeszcze wymawiać jemu co doświadczył jéj niewdzięczności i złego serca. Przecięż fakt ten był w logice charakterów, nie powinien był go dziwić.

— Krzywdę! odparł, ja wyrządziłem ci krzywdę? ja, co chodziłem po proszonym chlebie, gdyś ty miała dach nad głową, dobytek, dostatek, nie zaznałaś nigdy głodu ani opuszczenia?

Mówił to półgłosem a jednak w słowach dźwięczała gorycz gryząca.

— To być nie może, ciągnęła daléj uparta Połośka, byście wszystko oddali tym Dąbkom. Co wam chodziło o Stacha? zkąd znaliście go. Oj mówiłam ja zawsze żeście nie mieli dobrego rozumu nie—nie.

Tu już przebrała się miara cierpliwości starca.

— Połośko! zawołał—Połośko Bóg widzi, że gdybyś ty była znalazła jedno przecięż słowo jedną łzę, ja przebaczyłbym ci wszystko — zamiast tego ty...

Głos drżał mu i zamierał w piersiach z oburzenia i bólu. Stał chwilę pasując się sam z sobą, miotany sprzecznemi uczuciami, bladł, czoło pochylił ku ziemi, dłonie załamał rozpacznie szepcząc.

— Moja córka—moja córka.

Kobieta nie ruszała się z miejsca. Jakieś ciemne poczucie spełnionéj winy walczyło z gniewem, jaki wzbudzał jego ostatni postępek. Nie było

w stanie uznać w nim sprawiedliwości, tylko czuła osobistą szkodę.

— Córka wasza? to i cóż, podchwyciła gwałtownie; pamiętaliście o tém może gdyście rzucali pieniądze dla Dąbka, zapominając o swoich rodzonych?

— Milcz, przerwał ojciec, podnosząc rękę ruchem pełnym grozy: milcz. Ja nigdy nie miałem córki nigdy nigdy—odejdź—chciałbym zapomnieć—bo inaczéj—ja nie chcę cię przeklinać Połośko.

Scena ta odbywała się na drodze, wśród wieczornego zmroku. Świadkami jéj były czarne chmury wlokące się po niebie, i blady księżyc wyglądający z pośród nich drżącém światłem; wtórowały jéj głuche krakania wron, wiatr świszczący pomiędzy bezlistnemi gałęziami i otrząsający z nich szron zimowy. Zresztą nikt nie słyszał jéj ze wsi.

Połośka stała czas jakiś na górze, spoglądając na odchodzącego ojca. Coś kołatało jéj w piersi, coś nakształt wyrzutu sumienia budziło się w sercu, ale trwało krótko. Wzruszyła ramionami gniewna na samą siebie.

— Ot, mruknęła, niech tam idzie gdzie chce, to lepiéj.

Zawróciła się i poszła do siebie.

Antol oddalał się niepewnym krokiem. Myśli jego były zmącone, serce ściskało się w piersi, oddech zamierał; łzy byłyby przyniosły mu ulgę, ale w starości o nie trudno, powieki suche i zaczerwienione, nie mogły zdobyć się na gorzką kroplę łzy. Aż uszedłszy kilka staj, upadł na drodze, bezsilny, zmordowany, przygnieciony ciężarem bytu.

Dąbkowie próżno zatrzymywali go u siebie i starali się okazać mu wdzięczność swoją: nie mógł tam pozostać, ciężyło mu powietrze Maliniec, te miejsca pamiętne całém minioném życiem nęciły go z daleka i odpychały zarazem. To, czego szukał, nie istniało, ani tu, ani nigdzie na ziemi. Daremnie tęsknił, pragnął i narzekał, daremnie chciał zapomnieć, że Połośka jego nie miała serca. Nie potrzebował dzisiejszego spotkania, by się o tém przekonać—a jednak bolało go to zawsze jak wieczna nowość, zawsze jednako.

Teraz gdzie miał się udać? Siły odmówiły mu posłuszeństwa, a wola złamana bólem nie mogła zapanować nad buntującém się ciałem. Jakiś dziwny dreszcz przechodził członki, przywykłe do zimowych chłodów; jakieś trwogi powstawały w myśli; świat cały krążył mu się i wirował w oczach.

Pomimo to starzec się nie ruszył i patrzał szeroko rozwartemi oczyma na śnieżne płatki niesione wiatrem, które jak całun spowijały świat cały i jego pospołu. Coraz grubsza warstwa przysypywała odzienie jego tłocząc ciało chłodnym wilgotnym ciężarem. Mógł wprawdzie otrząsnąć go łatwo, jednak nie czynił tego, ogarniony coraz bardziéj wzrastającą niemocą. Wreszcie próbował powstać, członki jego były jakby skrępowane. Z trudnością podniósł rękę do czoła, odgarniając z niego śnieg czy myśli; zrozumiał może niebezpieczeństwo swego położenia, krzyknął słabym głosem, ale krzyk ten przebrzmiał bez echa: nikt nie posłyszał go, nikt nie przyszedł na pomoc.

— Ha, wyrzekł drżącemi usty, przyjdzie tu skonać, czuję to.

Zaczął szeptać pacierze, otulając się machinalnie dziurawym płaszczem, który służył mu za ochronę przez tyle nocy spędzonych na dżdżu i mrozie.

Teraz zasłona ta była niedostateczna; wewnętrzne zimno przejmowało go na wskroś, rozmowa z Połośką ścięła mu krew w żyłach. Tymczasem śnieg padał coraz gęstszy, wiatr dął coraz silniéj; starzec nie próbował już strząsać całunu, co go żywego przysypywał. Na oczy padła mu senność dziwna, na myśli zamęt i ciężkość jakaś w sercu. Zapanował wreszcie spokój—spokój grobowy. Pochylił głowę na piersi, zasnął i nie obudził się więcéj.

W Malińcach pozostało wspomnienie jego legendowéj postaci i krzyż drewniany na cmentarzu, który Stach wyciosał własną ręką, a Hanka obwiesza kwiatami.

Plaskocina nigdy nie wspomina ojca. Dostatek jéj idzie w marność. Maryśka odpłaca jéj złe uczynione, a patrząc na powodzenie Dąbków, zazdrość pożera jéj serce.

Koniec.

SŁOMKI.

Ptak z długim dziobem i o głupowatém wejrzeniu, którego artysta w locie po nad lasem pochwycił, dobrze jest znany myśliwym w całéj Europie; polowanie na słomki bowiem uważa się za jedno z najprzyjemniejszych, już to dla samych warunków życia tego ptaka, z wielu względów osobliwego, już ztąd, że polowanie nań przypada w samych początkach wiosny, z pierwszemi odgłosami leśnych piosenek.

Słomki należą do owych awanturniczych ptaków, co osiadłego życia wieść nie mogą, a żywot swój spędzają w wędrówkach bezustannych z południa na północ, i znów z północy na południe. Do nas przylatują w połowie marca, skoro tylko pierwsze puszczą śniegi. Myśliwi wypowiadają im wojnę zwykle o zmierzchu, — stanąwszy na brzegu lasu, na haliznach, porębach lub w innych łatwych do strzału miejscach, oczekują tych ptaków, znają bowiem charakterystyczny ich zwyczaj *przeciągania* po nad lasem. Na rankiem przed wschodem słońca i o zmroku po jego zachodzie, zrywają się słomki z ziemi i przelatują w różnych kierunkach po nad lasem, wydając charakterystyczny odgłos, złożony z dwukrotnego chrapnięcia i piskliwego pojedynczego gwizdnięcia. Co je skłania do tych przechadzek, na pewno powiedzieć nie można; naturaliści złośliwi widzą w tém schadzki miłosne, na które się wywoływają dziwną swą mową, większość atoli naturalistów uważa to za oszczerstwo. Słomki zresztą, pomimo cygańskich narowów wędrownych wiodą życie bardzo porządne, żyją w jednożeństwie i młode swoje przykładnie wychowują. Ciągi te nie są także w związku z wyszukaniem pokarmu tych ptaków, karmią się one robactwem żyjącém wśród zeschłych liści. Zabawnie siedzi słomka po nad kupą liści, zajęta ważnem zadaniem wyszukania pokarmu; podobna do babiny na kiju schylonéj, długim i miękkim dziobem maca i rozrzuca liście, schylając i podnosząc głowę, a skoro wielkie i czarne oczy, z boku osadzone, dostrzegą glistę, podnosi się natychmiast szczęka górna i dziób przybiera pozór cęgów chwytających szybko ofiarę. Górne więc ciągi zdają się nie mieć związku ani z trybem miłosnym, ani z żerowaniem tych ptaków: może to tylko ich przechadzka, użycie ruchu w czasie swobodnym od jastrzębi i innych nieprzyjaciół,—niepomne, że wtedy czyha na nie istota drapieżna, z daleko-strzelnemi szponami.

Mała liczba słomek gnieździ się po naszych lasach, większość udaje się na północ. W powrocie jesienią zapadają po lasach, chróstach i czasami w zaroślach błotnych, lecz zwykle w małéj ilości i w rozproszeniu. Polowanie wtedy nie ma już jednak dla myśliwca uroku wiosennego, jakkolwiek pożądane mięso słomek jest o téj porze daleko smaczniejszém, gdy słomki są oblane, to jest upasione: jesień, a zwłaszcza nadchodząca zima szersze dla myśliwca przedstawiają pole.

Dla zoologa słomka nie jest po prostu słomką: w księgach stanu zwierzęcego, gdzie wszystkie istoty wciągnięte są z imienia i nazwiska, słomka zaciągnięta jako Bekas—Słomka, czyli w prawdziwie urzędowym języku zoologicznym Scolopax rusticola. Z rodzaju bekasa kilka jeszcze przebywa u nas gatunków: krzyk, dubelt, ficlauz; różnią się one w sposobie życia od słomki tém, że pokarm wyszukują nie wśród liści, lecz głównie na błotach, zamieszkując bagna i łąki wilgotne, na których cały dzień spędzają, mało się poruszając. Mają jednak ze słomkami wspólną budowę głowy, dzioba, nóg, skrzydeł i ogona. Polska nazwa bekasów zdawałaby się pochodzić od oryginalnego warczenia, beczeniem zwanego, jakie wydaje w czasie lęgowym krzyk, gatunek najpospolitszy bekasów; dziwna jednak, że tę samą nazwę posiada ten ptak i w innych językach: *bécasse* po francuzku, *Bekassine* po niemiecku. W dziedzinę atoli językoznawstwa wkraczać tu nie zamierzamy.

ANTONI STOLPE.

Dwie dotkliwe straty poniosła u nas sztuka w tym roku. Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od śmierci Moniuszki,—aż oto z Meran nadeszła do Warszawy wiadomość, iż 7-go września skonał tam w 21-ym roku życia młody pracownik, który już tém co dokonał w tak krótkim przeciągu czasu, zasłużył na miano artysty w poważném tego słowa znaczeniu. W zestawieniu tych dwóch nazwisk niech nikt nie szuka porównania, które byłoby nielogiczném, między mistrzem zgasłym w całéj pełni męzkiego skrystalizowanego już talentu i zostawiającego krajowi genialne ślady swéj działalności, a młodzieńcem którego gorączkowa, ulegająca jeszcze wpływom zewnętrznym działalność,—szukała sobie dopiero dróg najwłaściwszych niezaprzeczonemu i to wielkiemu talentowi. Ale mówiąc o stratach w przerzedzonych już bardzo szeregach prawdziwych artystów, wspomnieliśmy jednocześnie o Moniuszce i Stolpem dla tego, że skończony i dojrzały twórca i młody rwący się do tworzenia kompozytor—stali na jednym gruncie: oryginalności, tak rzadkiéj w dzisiejszych czasach rzemieślniczéj i bezbarwnéj produkcyi.

Antoni Stolpe urodził się dnia 23 maja 1851 roku w Nowéj Aleksandryi (w Puławach), gdzie ojciec jego Edward Stolpe był nauczycielem muzyki w miejscowym Instytucie panien. Objawiając od najmłodszych lat niezmierne do muzyki zamiłowanie,—Antoni uczył się gry fortepianowéj od swego ojca. W trudności teoryi muzyki wtajemniczył go głównie Freier, a przy końcu Moniuszko w Instytucie muzycznym, którego kursa ukończył młody Stolpe z wielką nagrodą w 1867 roku.

W ciągu całego tego niedługiego czasu, młody artysta żelazną pracą i wytrwałością zadziwiającą w wątłym i chorobliwym organizmie, wznosił się szczebel po szczeblu na wyżyny sztuki — i to tak szybko, że już w 1868 roku mógł wystąpić

w Warszawie z koncertem, na którym zaprodukował się publiczności jako fortepianista-wykonawca i kompozytor. Pamiętamy wrażenie tego pierwszego wystąpienia Stolpego. Większa część publiczności, zawiedziona mnóztwem nieurzeczywistnionych obietnic czynionych jéj przez różne młode talenta, przyszła na ten koncert z trochą nieufności, z wielką dozą pobłażania, przekonana że ma do czynienia z jedném *z cudownych dzieci*, których artystyczna karyera kończy się zwykle na kilku powiatowych estradach.

Pierwsze takty uwertury kompozycyi młodego Stolpego, wykonywanéj pod jego dyrekcyą, pierwsze akordy na fortepianie uderzane ręką, którą myśl głębsze i skupione w sobie uczucie kierowały, — nawołały słuchaczów do bacznéj uwagi, oznajmiając jéj w koncertancie silną i niezwykłą indywidualność.

Dwa koncerta dane w Warszawie przez Stolpego (w grudniu 1868 i w maju 1869 r.) silne pozostawiły wrażenie na publiczności zaciekawionéj tym talentem wróżącym przyszłość jak najświetniejszą. W epoce téj poprzedzającéj studya zagraniczne, Stolpe tworząc ulegał jeszcze potężnym wpływom mistrzów w których się zagłębiał. W utworach jego, mianowicie orkiestrowych, przebija cześć dla Mendelsohna, a uwydatnia się szczególniéj w pewnym zakroju pomysłów—bo forma, koloryt orkiestrowy nie są jeszcze wykończone; niewprawne ustosunkowanie mas brzmiennych nadaje czasem tym p i e r w s z y m utworom Stolpego cechę h a ł a ś l i w o ś c i— wśród której giną najlepsze może intencye instrumentacyjne.

Nierównie wyżéj stoją pod każdym względem wykonane na tychże dwóch koncertach kompozycye na instrumenta smyczkowe w formie sekstetu, tria, — i utwory fortepianowe. Skromność i prostota w traktowaniu tematów, zręczne już wtedy rozdawnictwo ról pojedynczym instrumentom, a jako ogólny koloryt, powaga i spokój cechowały te kompozycye młodzieńca zaledwie lat 19 liczącego. Jako wykonawca, Stolpe zapowiadał potężnego fortepianistę. Nie myślimy tu bynajmniéj rozwodzić się nad techniką, która staje się dziś coraz powszedniejszym przymiotem, ale zaznaczamy wtajemniczenie się wyborne w ducha kompozycyi, śledzenie rozumne za najlżéj zarysowanemi intencyami autora, — co przedewszystkiem zauważyliśmy w tłomaczeniu Szopena.

W 1869 r. Stolpe wyjechał do Berlina ożywiony têm gorącém pragnieniem, ażeby działalność jego, nie skończyła się, jak u tylu poczynających, na świetnych zapowiedziach. Kullak i Kiel,—pierwszy jako znakomity technik fortepianowy,—drugi jako mistrz teoryi, rozciągnęli opiekę nad tym talentem, który od razu wzbudził w nich niezwykły podziw.

Tu dopiero zaczęła się ta niecierpliwa, wyczerpująca praca w obu kierukach: egzekutorskim i autorskim, która miała przyśpieszyć upadek sił w słabym i tak organiźmie. Obaj nauczyciele niejednokrotnie Stolpego odwodzili od pracy, któréj doniosłość musiała być wielka, kiedy po upływie roku (w 1870) powierzono mu klassę fortepianową w konserwatoryum berlińskiém.

Z owéj to epoki datują niepospolitéj wartości waryacye na kwartet smyczkowy, wykonane na jednym z wieczorów Towarzystwa muzycznego: W kompozycyi téj znać już ślady pracowitych studyów teoretycznych i co najważniejsza, wyrabianie się w kompozytorze pewnego właściwego stylu. Zwrot ku głębokim kombinacyom harmonicznym przeważa w tym utworze; melodya odgrywa tam rolę drugorzędną, wskazując pewne sympatye dla nowéj szkoły kompozytorów — co jednak najbardziéj uderza w téj kompozycyi, to odmłodzenie pod tchnieniem talentu przestarzałéj formy waryacyj, i fantazya w urozmaicaniu tych illustracyj jednego i tego samego tematu, jak również gruntowna znajomość natury każdego instrumentu, któremu się pewne myśli do



Antoni Stolpe.

wypowiedzenia powierza.

W Berlinie Stolpe tworzył ciągle i grywał po kilkanaście godzin dziennie, bez względu na stan zdrowia, który pogorszał się ciągle. Zaziębienie na koncercie Wagnera przyśpieszyło wybuch groźnéj choroby. W grudniu 1871 roku przybył Stolpe do Warszawy. I tu jeszcze mimo nalegań rodziny, pisał ciągle, ilekroć przemijająca chwila polepszenia na to mu pozwalała. W czerwcu w roku bieżącym z polecenia lekarzy wyjechał do Salzbrun, a następnie do Méran, gdzie jak już wspominaliśmy na początku, zakończył pracowite życie.

Z utworów Stolpego, publiczności warszawskiéj znane są: dwie uwertury na orkiestrę; Marsz na cześć Mendelsohna na orkiestrę; sekstet na fortepian, dwoje skrzypiec, wiolonczelę, altówkę i kontrabas; trio na fortepian, skrzypce i wiolonczellę z orkiestrą; 3 pieśni na fortepian w formie etiudy; waryacye na kwartet smyczkowy; do śpiewu: Ave Maria i inne z towarzyszeniem fortepianu lub orkiestry. Prócz tego pozostały po zmarłym: waryacye na fortepian; preludye i fugi; dwie sonaty na fortepian i sonata na fortepian i skrzypce.

Wszystkie te kompozycye znajdują się w rękopismach; — Towarzystwo muzyczne które w swéj ustawie zobowiązało się do wydawania celniejszych dzieł kompozytorów krajowych, nie zapomni zapewne o zmarłym artyście a przedewszystkiem zaznajomi publiczność warszawską z utworami, które stawiają Stolpego w rzędzie niepospolitych polskich kompozytorów.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 74*).

Przegląd dziejów przyrody. Studya filozoficzne przez dr Wincentego Szyszłło (ę). — Warszawa. 1872.

W ostatnich dwóch rozdziałach, traktujących o znaczeniu i pochodzeniu gatunków, a w szczególności o pochodzeniu człowieka, występuje w całym swym majestacie teorya Darwina, przed którą ostatecznie autor się korzy, odważając się zaledwie uzupełnić ją poglądami Haeckel'a, Vogt'a i Kölliker'a. Wszystkie podziały czyli systemata przyrodzone, uznawane dotąd w botanice i zoologii, nie odpowiadają głównéj zasadzie—jedności praw natury i planu twórczego—będącéj prawdziwą podstawą dzisiejszego przyrodoznawstwa. Związek natury organicznéj pojmował genialny A. Humboldt. „Umysłowi badawczemu, powiada on, przedstawia się coraz jaśniéj ogólne powiązanie istot, nie w kierunku szeregowym, lecz w kształcie siatki wiążącéj całą przyrodę." W innėm miejscu mówi: „Głównėm zadaniem geografii fizycznéj jest wykrycie, w jaki sposób rozliczne twory, pomimo pozornego ich rozrzucenia i odosobnienia familij i gatunków, zostają między sobą w ukrytym związku co do swojego początku." Jak niepodobna oznaczyć granicy między językiem a dyalektem, tak również niepodobna oznaczyć granicy między gatunkiem a odmianą. Jak w pierwszym razie dyalekt przy wymieraniu właściwego języka staje się językiem samodzielnym; tak w drugim przez stopniowe znikanie gatunku, odmiana staje się gatunkiem samoistnym. W jednym i drugim razie nie będzie żadnéj przerwy, a zmiana dokona się na drodze powolnych, lecz ciągłych przekształceń, na drodze stałego postępu. Pierwszy Geoffroy St.-Hilaire (w r. 1795) wypowiedział myśl, że gatunki obecne stanowią przemianę form pierwotnych. Zdanie to popierał Lamarck (1801—1815). Myśl syntezy przyrody podniósł i rozwinął Karol Robert Darwin. Zdaniem Darwina gatunki nie istnieją w naturze; są tylko

Dalszy ciąg w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 78-go.

osobniki czyli indywidua. Dzisiejsze gatunki Darwin uważa jako rozmaite odmiany mające wspólnych rodowych praojców. Odmiany te po zatraceniu form pośrednich, pod wpływem przyrodzonych czynników przeobraziły się w ciągu długich geologicznych okresów na dzisiejsze ustrojowe formy. Od ilości zatraconych form zależy wielkość przedziału pomiędzy jedną odmianą a drugą. Olbrzymią liczbę gatunków dzisiejszych, podług Darwina, należy ograniczyć i ugruppować według ich cech rodowych na podstawie embryologii. Układ genealogiczny Darwina polega na tém, że wszystkie twory organiczne pochodzą od czterech lub pięciu prototypów zwierzęcych i tyluż roślinnych; a być może, iż cała organiczna przyroda powstała z jednego pierwotworu pośredniego między zwierzętam i roślinami. W pierwszym razie pewne tylko gruppy miały wspólnych prarodziców, których postaci wcale nie znamy. Potomkowie tych grupp, coraz bardziéj wyróżniając się od siebie, doszli nakoniec do stanu obecnego. Systemat swój Darwin objaśnia porównaniem organicznéj przyrody z historyą drzewnych konarów. „Pączki zielone, mówi wydające z siebie latorośle, wyobrażają nam obecnie istniejące gatunki, wszystkie zaś inne z lat przeszłych świadczą o gatunkach wymarłych. W okresie wzrostu drzewa wszystkie pączki dążą do najsilniejszego rozwoju, w walce wzajemnéj usiłują przerość i zniszczyć sąsiednie;—w podobny sposób toczy się walka o byt między oddzielnemi gruppami lub ich osobnikami na rozległych obszarach przyrody. Wielkie gałęzie pod zielone na mniejsze gałązki, a te ostatnie na jeszcze drobniejsze, były swoją koleją niegdyś pączkami; ten stosunek między pączkami dawnemi i świeżemi może nam dać wyobrażenie układu genealogicznego i wzajemnego pochodzenia jednéj gruppy od innych grupp istot organicznych, bądź żyjących bądź wymarłych. Ze wszystkich tych małych gałązek, które niegdyś żyły, kiedy drzewo było krzewem nieznacznym, zaledwie dwie lub trzy rozrosły się w olbrzymie konary i przeżyły tym sposobem inne; również między gatunkami zwierząt, jakie niegdyś egzystowały w epokach geologicznych, znajdujemy bardzo niewiele takich, które doszły do dni naszych. W początkowym rozwoju drzewa wiele gałązek uschło i opadło; gałązki te, zatracone w rozmaitych miejscowościach, przedstawiają nam dzisiaj owe rzędy, rodziny i rodzaje, które już zaginęły bezpowrotnie. Niejednokrotnie zdarza się nam widzieć że u dołu drzewa pozostały jeszcze niektóre wątłe gałązki i ocalały od zatracenia skutkiem pewnych sprzyjających okoliczności; podobnie spotykamy obecnie niektóre gatunki zwierząt, będące jakby łącznikiem dwóch odległych epok biologicznych."

Cała teorya Darwina „powstawania gatunków" sprowadza się do trzech głównych praw przyrodzonych: 1. Powstawanie odmian i dziedziczność ich w potomstwie. 2. Walka o byt istot organicznych pomiędzy sobą. 3. Naturalny wybór osobników przeważających nad innemi.

Każda istota w ciągu życia swojego, skutkiem wpływu warunków życia czyli prawa urabiania się do warunków zewnętrznych, nabywa niektórych przymiotów odmiennych od tych, jakie po rodzicach swoich odziedziczyła. Te nabyte w ciągu życia cechy udzielają się następnie potomstwu w moc prawa dziedziczności. Darwin przyjmuje dwa rodzaje przyczyn, współcześnie powodujących powstawanie odmian w świecie organicznym. Jedne z nich działają bezpośrednio na rośliny i zwierzęta, jak światło, ciepło, wilgoć atmosferyczna, klimat, grunt ziemi; inne są jakby następstwem pierwszych, oddziaływających na przemianę w płodzeniu skutkiem zmiany nasienia. Zwierzęta i rośliny, zmieniając klimat i pożywienie, wstępują tém samém w zupełnie nowe warunki bytu. W nowéj swéj ojczyźnie spotykają się z całkiem odmiennemi osobnikami. Zawiązuje się tedy pomiędzy niemi walka o byt, któréj następstwem musi być albo urobienie się przybyszów do miejscowych warunków, albo zupełna ich zatrata.

Z téj to walki w pierwszym wypadku wynika przemiana dziedzicznych cech nowego przybysza. Nowa odmiana tém łatwiéj się przechowuje, że oprócz odmiennych warunków bytu, w skutek rozłączenia się z dawnym swoim gatunkiem, nie może nadal z nim się krzyżować. Gatunki wspólnego pochodzenia na mocy prawa dywergencyi (divergence of caracter) t. j. rozchodzenia się cech, coraz bardziéj oddalają się w potomstwie nietylko od swego pierwotnego prototypu, lecz odstępują i od własnych cech swoich. Używanie lub nieużywanie pewnych organów (np. oczu u kretów) nietylko zmienia sam przyrząd, lecz zmianę tę utrwala i w dalszém potomstwie. Nadto zmiana w jednym jakimkolwiek organie pociąga za sobą zmianę innych organów na mocy organicznego prawa zależności rozwoju. Takie są główne przyczyny tworzenia się odmian. Odmiany te i zboczenia, zwykle pomijane przez zwolenników teoryi Cuvier'a, dla Darwina są cennemi wskazówkami i ogniwami łańcucha genealogicznego.

Drugą główną zasadą teoryi Darwina jest *walka o byt* wszystkich tworów organicznych. Liczba zarodków istot organicznych przewyższa o wiele zasoby przyrody saméj i tylko przez walkę utrzymuje się równowaga i stopniowe doskonalenie się tworów. Najstraszniejsze współzawodnictwo bywa zwykle między pokrewnemi gatunkami lub ich odmianami. Pochodzi to z téj przyczyny, że w konkurencyi życiowéj mają wspólne miejsce walki i jeden cel życia. Odmiany wywołane warunkami klimatycznemi, oraz skutkiem walki indywiduów pomiędzy sobą, Darwin dzieli na trzy kategorye. Do pierwszéj kategoryi zalicza on odmiany korzystne, do drugiéj obojętne, do trzeciéj szkodliwe dla zachowania gatunku. Przyroda stara się przechować tylko korzystne odmiany; niekorzystne zaś prędko giną w dalszéj walce o byt, a obojętne zwolna wymierają jako niedoskonałe. Przykład pierwszéj odmiany, to jest korzystnéj, napotykamy u dzisiejszéj żyraffy. Żyraffa pochodzi od dawnego gatunku kopalnego, nieposiadającego wcale tak długiéj szyi; lecz skutkiem naturalnego wyboru, gdy wymarły osobniki nie będące w stanie dostawać liści z wierzchołków palm przy zalaniu pewnych miejscowości wodą, powstała dzisiejsza odmiana z osobników mających wówczas już najdłuższą szyję. Chwilowe utrwalenie odmian niekorzystnych widzimy na chrząszczach madagaskarskich o słabo rozwiniętych skrzydłach. Tę niekorzystną odmianę Darwin uważa za następstwo walki o byt i naturalnego wyboru działających wstecznie czyli regressyjnie na zachowanie pewnych form. Silne owady, zdaniem jego, zanoszone były przez wiatr na morze i ulegały zatopieniu. Zostały tylko słabsze i niezdolne do lotu, które z téj przyczyny dotąd się przechowały. Nie zawsze jednak współzawodnictwo życiowe ma na celu wytępienie gatunku. Büchner dzieli walkę o byt na czynną i bierną; pierwsza ma na celu zniszczenie gatunku, druga zastosowanie jego do odmiennych warunków bytu. Tak np. w Paragwaju nie ma obecnie dzikiego bydła rogatego, ani psów, ani koni, jak to się widzi w całéj południowéj Ameryce. Pochodzi to ztąd, że zwierzęta te, napastowane przez miryady pewnych owadów miejscowych, zmuszone były szukać opieki ludzkiéj i wyrzec się całkiem stanu dzikości.

Walkę o byt spotykamy także i w ludzkiém społeczeństwie. Bywa ona dwojaką: fizyczną i moralno-umysłową. „Każdy postęp na drodze umysłowéj kultury okupiony był plemienną walką o miejsce i pokarm. W powszechnéj téj walce o byt, pierwszeństwo dostało się temu, kto odwagą, siłą, lub rozumem przewyższył swego przeciwnika. Zwyciężony stawał się niewolnikiem, zwycięzca zaś panem jego życia i pracy. Nie wolno mu jednak było ani na chwilę spocząć na laurach. Powszechném jednak prawem natury jest wszechżycie, czyli ogólny ruch, ogólna praca;—ktoby choć na chwilę ustał w tym ruchu, odpoczął w pracy, ten musiałby drugiemu miejsca ustąpić. Zadaniem przeto jest tak pojedyńczéj jednostki jak i całego narodu śledzić i i zdążać w tym ogólnym pochodzie na drodze pracy bądź fizycznéj bądź umysłowéj." Bez powszechnéj walki, bądź indywidualnéj, bądź plemiennéj, bądź wreszcie narodowéj, postęp ogólny w ludzkości nie byłby możliwy. U ludów posiadających wyższą cywilizacyę, walka o byt zmienia swoją naturę. Z grubéj, zwierzęcéj, fizycznéj, przechodzi ona w walkę moralną i umysłową, któréj celem jest zdobywanie i rozszerzanie wiedzy. Pod wpływem podobnych walk pojedyncze stany w narodach zyskiwały przewagę nad innemi. Upadek moralno-umysłowy każdego stanu bywa następstwem jego dziejowego bezruchu. Poglądy autora w téj mierze zupełnie są słuszne; zrobilibyśmy tylko uwagę, że w dziele noszącém tytuł „Przegląd dziejów przyrody," wszelkie rozprawy historyczne zaopatrzone dokumentami, są niewłaściwe. Autor widocznie zapatrywał się na *Merveilles de la science* Figuier'a; lecz dzieło to jest historyą pojedyńczych wynalazków, traktowaną w sposób monograficzny, książka zaś d-ra Sz. ma założenie ogólniejsze, i wszelkie zboczenia do Suwarowa, do szaspotów, do korrespondencyi ojca Cazre'a z Gassendi'm, zaszkodzić jéj tylko mogły. Ważniejsza jest rzucona przez autora myśl o postępowym rozwoju umysłowości rozmaitych klass naukowych, którą także tłómaczy teorya Darwina. Znakomite zdobycze osiągnięte na drodze badań indukcyjnych, zapewniły w naszym wieku przyrodoznawstwu zasłużoną przewagę nad metafizyką i wykształceniem klassyczno-humanitarném. Po kilku uwagach o psychicznym wyborze na polu wiedzy, o rezultatach pracy dziejowéj, ducha inicyatywy, stowarzyszenia i wytrwałości, autor zastosowuje teoryę Darwina do oddzielnych narodów. W obec ogólnéj pracy fizyczno-umysłowéj narody zachowują się biernie lub czynnie. Praca czynna fizyczno-umysłowa bywa dwojakiego rodzaju: czynna produkcyjna i czynna twórcza. Podług tego trojakiego charakteru pracy, autor dzieli ród ludzki na trzy główne szczepy: do pierwszego zalicza narody koczujące, do drugiego rolnicze, a do trzeciego rolniczo-przemysłowe. Najmniéj warunków istnienia posiadają narody koczujące. Praca ich zupełnie bierna, bezowocna; nic nie produkują nic nie tworzą,

żyjąc tém tylko, co im daje przyroda, od któréj pozostają w ścisłéj zależności. Do téj kategoryi należą również ludy trudniące się wyłącznie myśliwstwem i rybołówstwem. Narody rolnicze są z natury swéj konserwatywne. To zachowawcze ich usposobienie stawia je w walce o byt w niekorzystnych warunkach w porównaniu z innemi bardziéj ruchliwemi i postępowemi plemionami.. Z usposobienia swego narody rolnicze miłują spokój, przechowują wiernie cnoty rodzinne i dawne zwyczaje narodowe... Praca ich, będąc z natury swéj tylko produkcyjną, nie rozwija twórczéj strony umysłu; natomiast rzewne ich usposobienie i ciągła kontemplacya natury wyrodziły w nich wyższy rozwój uczucia i wyobraźni, jak to widzimy z ich wzniosłéj poezyi. One jedne jak mówi Quetelet o Słowianach wnoszą do cywilizacyi ideę braterstwa ludów. Kierując się bardziéj uczuciem aniżeli rozumem, łatwo ulegają panowaniu ludów przemysłowo-rolniczych. „Narody rolnicze, powiada Humboldt, nie mające czynnego udziału w postępie przemysłowym, w wyborze i przerabianiu pierwotnych materyałów, w trafném i szczęśliwém zastosowaniu mechaniki i chemii, narody, u których postęp ten nie rozciąga się do wszystkich klas społeczeństwa, muszą niewątpliwie pozbawić pomyślności, którąby osiągnęły przy czynnym udziale w pracy. Zubożeją one, i to tém prędzéj, im szybszy jest postęp państw ościennych, w których nauki i sztuki wspierają się wzajemnie." Na najwyższym szczeblu cywilizacyi stoją narody przemysłowo-rolnicze. U nich jednak walka o byt najsilniéj się rozwija i podział pracy najwszechstronniéj jest przeprowadzony. Praca ich będąc z natury swéj twórczą, popycha je do coraz obszerniejszéj działalności. Powstawanie odmian indywidualnych i plemiennych najsilniéj się objawia u tych narodów. Ze wszystkich myślicieli, którzy w ostatnich czasach studyowali społeczeństwa ludzkie na podstawie teoryi Darwina, najwybitniéj odznacza się Herbert-Spencer. Wielka szkoda, że autor „Przeglądu," zamiast podania wniosków, do jakich doszedł znakomity angielski filozof, zboczył na pole tegoczesnéj polityki i dał nam rozprawkę, kto wie czy nieprzeznaczoną początkowo dla jakiéj gazety. Jest to obrona i wyniesienie Francyi a poniżenie zwycięzkich Niemiec w odwet za Sedan i Metz. Autor dowodzi, że zarówno warunki fizyczne, jako to: gleba, klimat, położenie, zdolności aklimatyzacyjne i w ogólności żywotność plemienna, jak i moralno-umysłowe, a mianowicie: język, religia, moralność, prawo publiczne, historya, filozofia, nauki ścisłe, podział pracy, a przedewszystkiém przewaga psychiczna w ludzkości,—że wszystkie te warunki zapewniają Francuzom wyższość nad Niemcami w walce o byt i że przechwałki w tym względzie Niemców są przedwczesne. Szczęśliwe położenie fizyczne Francyi obiecuje jéj rozmnażanie się najświetniejsze: to bowiem jest w ścisłym stosunku do środków pożywienia każdego narodu. W tym razie potwierdza się w społeczeństwie ludzkiém ogólne biologiczne prawo: *że siła genetyczna jest proporcyonalna do środków żywności.* Prawo to jednak krzyżuje się z inném, równoważącém pewne niedogodności jego. Im wyższa jest organizacya zwierzęcia, tém mniejszy jest jego rozpłód. Podług Spencera, ze wzrostem intelligencyi siła genetyczna słabnie, wielcy geniusze byli częstokroć bezpotomni. Siła ich rodzajna zamienia się w tym razie na siłę umysłową. Prawo to stosuje się i do narodów. Zbytek pokarmu, który zamienia się u ludzi mniéj ucywilizowanych na siłę genetyczną, w tym razie u narodów wysoko oświeconych zmienia się na siłę umysłową. Zmniejszanie się zatém stopniowe płodności rass ucywilizowanych w przyszłości, będzie, podług zdania Spencera, następstwem silniejszego rozwoju całego układu nerwowego. W tym wypadku filozof angielski upatruje źródło przyszłego uzdolnienia i szczęśliwości rodzaju ludzkiego. Następstwem coraz wyższego rozwoju systematu nerwowego w plemieniu kaukazkiém będzie większa żywotność pojedynczéj jednostki, a zarazem i zwiększenie proporcyonalne długości życia. Dzisiejsza siła genetyczna w przeważnéj części zamieni się na siłę indywidualną woli, uczucia i rozumu. Wówczas to wzrost ludzkości dozna znacznéj przeszkody i rozradzanie się plemion ludzkich znacznie powolniejszém się stanie. Natomiast skutkiem pomnożenia energii nerwowéj, skutkiem poprawy hygienicznych warunków swojego bytu, należytego użytkowania darów przyrody, ludzie staną się długowiecznymi, a tém samém mniéj zależnymi od cierpień fizycznych i moralnych. O ile zatém stosunkowo będzie się rozwijał systemat nerwowy i długość życia ludzkiego, o tyle zmniejszać się będzie płodność indywidualna, a tém samém i owa nieszczęsna walka o byt przestanie być dla człowieka prawem natury i wyłączną pobudką do pracy; natomiast moralne poczucie obowiązku zajmie jéj miejsce. W tém to wypełnieniu obowiązków człowieka, w powszechnéj pracy dla dobra ludzkości, w coraz wyższém doskonaleniu się moralno-umysłowéj strony, upatrywać będą ludzie najwyższy szczyt szczęścia na ziemi. Wówczas to nastąpi równowaga środków żywności i potrzeb materyalnych człowieka—i będzie to epoka powszechnéj szczęśliwości (utopia!),—epoka, w któréj człowiek całkiem zapanuje nad naturą, i prawa walki o byt nie będą przewodniczyły w społeczeństwie ludzkiém. Marzenie to urzeczywistni się jednocześnie z wynurzeniem się Atlantydy z głębi wód morskich. *(d. c. n.)*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 77).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.—Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

„Doświadczenie naucza, że dobre lub złe instytucye, błędy lub mądrość rządzących, odegrały większą rolę w przeznaczeniach narodów, aniżeli surowość lub lekkość obyczajów,—i że nieszczęścia ludów są raczéj wynikiem ich ciemnoty, niż występków. W razie przeciwnym, należałoby przypuścić, że bitwa pod Jeną była zwycięztwem moralności francuzkiéj nad niemoralnością pruską, co nam się zdaje trudném do uwierzenia. Zdrowy rozsądek przekonywa jeszcze, że nie ma w Europie ludów cnotliwych i ludów występnych, że wszędzie znaleźć można złe i dobre strony, że narody europejskie tworzą wielką społeczność, w któréj panuje wspólna cywilizacya, wytwarzająca mniéj więcéj jednakowe cnoty i występki. Bigoci rozumują inaczéj. Bigoterya umie uwielbiać siebie i swoich w powodzeniu, w którém znajduje dowody ich cnót i świętości,—a nieszczęścia innych obrzuca klątwą i wzgardą, przypisując je przewrotności i zepsuciu. P. Strauss jest przekonany, że niepowodzenia ludu francuzkiego, były słuszną karą niebios za chciwość i żądzę zdobyczy (Raublust), która go zawsze charakteryzowała. „Nietylko literatura francuzka jest zgangrenowana—pisze daléj p. Strauss,—ale i cały naród; przed wojną obecną nie mogliśmy nawet mieć wyobrażenia o takiéj powszechnéj nikczemności i zdeptaniu wszelkich węzłów moralnych."

„P. Strauss znający tak dobrze Ewangelię i lubujący się w cytatach, powinienby pamiętać ustęp, w którym jest mowa o ludziach, co stojąc tak się modlili w duszy: „Boże, dziękuję Ci, że nie jesteśmy jako inni ludzie, chciwcami, niesprawiedliwymi i cudzołożnikami, jako oto ten celnik." Chrystus brzydził się temi cnotami pełnemi pychy i mówił do nich: „Biada wam!" Ci ludzie nazywali się faryzeuszami a faryzeizm jest chorobą ciężką. Niemcy dziś na na nią cierpią, ale się wyleczą, jeżeli przestaną słuchać sofistów, którzy psują ich doskonałą naturę. P. Strauss nie może się liczyć do sofistów, jest on człowiekiem silnych przekonań i to nie od dzisiaj. Niech jednak jego ironia będzie odtąd uboższa w sarkazm dla głupców, co wierzą w rzeczy nadprzyrodzone, gdyż sam autor Życia Chrystusa (niech mu to Bóg odpuści) ma swoją religię z proroctwami i cudami. W 1858 r., na końcu dzieła o Ulryku Hutten, wołał z zapałem wyciągając ręce ku temu świętemu narodowemu: „Obudź w nas nienawiść wszystkiego co nizkie, co fałszywe, *co nie jest niemieckie.*" Któż to ośmielił się posądzać d-ra Straussa o niewiarę w cuda? wierzy przecież bez trudności, że przez cudowną jakąś tajemnicę, Bóg wybrał sobie naród jeden, czyniąc go wyłącznym posiadaczem wszystkich cnót i wszystkich prawd, skazując inne na nikczemność i zepsucie. Jasnowidząca z Preworstu przepowiedziała prawdę: dr. Strauss był i będzie zawsze pełen wiary."

Założeniem główném studyum p. Cherbuliez'a zdaje się być obraz ubóztwa dzisiejszéj filozofii niemieckiéj, w porównaniu z niedawnym jeszcze pełnym świetności jéj rozwojem. Pietyzm z jednéj strony, nauki pozytywne z drugiéj, zdetronizowały filozofię rzeczywistą badającą wszystkie stosunki człowieka do wszechświata. Błąkanie się po zawiłościach teologicznych, lub abdykacya myśli z własnéj twórczości, rzucenie się w objęcia bezwzględnego empiryzmu, skierowanie wszystkich badań ku samym tylko praktycznym celom życia, bezowocne usiłowania utworzenia nowéj szkoły na gruzach sponiewieranego idealizmu Hegla, Schellinga i Fichtego—oto zdają się być główne cechy dzisiejszego stanu wiedzy filozoficznéj w Germanii. Moglibyśmy zapytać tu p. Cherbuliez'a, czy Francya lub jakibądź inny naród w Europie odznacza się innym kierunkiem, czy żałowana przez niego metafizyka wielkich niemieckich myślicieli, znajduje gdziekolwiek prawo obywatelstwa w téj epoce przejściowych, nieustalonych, przetwarzających się z dnia na dzień pojęć?...

Ale śpieszmy na wdzięczniejsze pole poezyi.

II.

„O jakżebym pragnął, wołał niegdyś znakomity poeta niemiecki, ukryć się przed światem całym i płynąć na łonie wód spokojnych pod jasném sklepieniem niebios! Śpiew ptaszął kazałby mi zapomnieć o nędzach téj ziemi, kołysany falą chciałbym uciec od ludzkiego mrowiska, przybijać czasem do brzegów nie opuszczając łodzi, zerwać pączek róży w przelocie, i płynąć wciąż daléj, patrząc jak się pasą trzody, jak rosną kwiaty, jak kosiarze ścinają wonne trawy żywiąc się brzaskami jutrzenki przeczystéj, lub kroplami rosy niebieskiéj."

O kilka strof daléj poeta odwraca oczy od własnego marzenia:

„Cóż znaczy to zniechęcenie do życia, te próżne, bezowocne pragnienia? Nauczyć się kochać ludzi, oto jedyne szczęście na ziemi,—kwiat usycha raz na zawsze, dziecię rośnie i nie wraca już do lat dziecinnych, w sercach ludzkich są przepaści od piekieł straszniejsze... ale jeżeli po dniu żałoby dzień radości błyśnie, wszystko się równoważy. Jak księżyc w swym chyżym locie ukazuje się i znika na łonie obłoków, tak przesuwa się przed tobą zmienne oblicze życia, dopóki nie pochłoną go fale wieczności!"

W tych pięknych strofach, określił Platen dwa rodzaje poezyi, dwie muzy. Jedna niezadowolona ze wszystkiego co się widzi i słyszy na tym padole, wzgardziwszy sprawami ziemi, chroni się do idealnéj krainy marzeń, które każą o rzeczywistości zapomnieć. Druga mniéj dziewicza, czy też mniéj zbolała, żyje wśród ludzi, lubując się ruchem wielkich miast i tajemniczym tłumów gwarem. Stąpa śmiało po arenie, na któréj krzyczą, drgają i potrącają się wybuchy radości z uniesieniami wściekłości namiętnéj. Podnosi z téj areny garść zakrwawionego piasku, i oto... dzieje się cud! Pod jéj palcami ta krew i to błoto zaczynają życiem oddychać, zmieniają kształt, postać, i przybierają twarz, opromienioną aureolą tragicznego piękna.

Czy można powiedzieć jednéj lub drugiéj z tych muz: „Tobie wyłączne panowanie w królestwie poezyi!" Nie. Pole poezyi jest niewyczerpane, podobnie jak serce ludzkie. Nikomu niewolno stawiać granic natchnieniom poety, więzić w ciasnéj celi wyłączności skarby jego fantazyi. Idzie o to jedynie, aby natchnienie było szczere, aby w artyście drgała dusza żywa i kochająca, aby w dziełach przebijał się człowiek.

Polityka nie jest rajem; jest to dziedzina ciemna, burzliwa, często błotnista. Muzy przystrojone bluszczem i gazą przejrzystą powinny od niéj stronić. Byli wielcy nawet poeci, którzy nie raczyli zwracać uwagi na to, co ich otaczało, i zeszli ze świata, nie poświęciwszy historyi swego czasu ani jednego wiersza. Cóż ich obchodziły tajemnice gabinetów lub wrzawa placów publicznych? Patrzali w ducha własnego i rozświecali jego głębie. Byli inni co śpiewali cierpienia i radości ludu. „Jak krople słodkiéj rosy, córy obłoków—wołał Pindar,—radują serce rolnika, którego użyźniają pole, tak hymny poetów podnoszą sławę zwycięzcy na igrzyskach i wiekom przyszłym ją przekazują." Inni jeszcze sławili imiona i rzeczy znikome, a nie umieli ocalić ich od śmierci. Ci śpią razem z przedmiotami swych natchnień, w jednéj mogile i w jedném zapomnieniu.

Przeciwnicy poezyi politycznéj twierdzili, że poświęcenie potęgi geniuszu na usługi jednego stronnictwa, znaczy toż samo co wydanie dzikim ludom posągów Fidyasza. Zapomnieli jednak, że w naturze geniuszu leży niemożność służebniczego hołdowania namiętnościom stronnictw. W duchu jego spoczywa zawsze siła wyższa, która odpycha ze wstrętem wszelkie względy hańbiące, wszelkie niewolnictwo. Geniusz nie potrafi ani schlebiać temu co ukochał, ani znieważać zwyciężonego nieprzyjaciela. Miłość jego pełna jest pobożnych niepokojów i owéj orléj przenikliwości, która cechuje najwyższą sprawiedliwość,—gniew umie przebaczać i zapominać. Człowiek genialny wie, że każdy tryumf ma swoje jutro, że niebo jest zazdrosne, a wiatry zmienne. Żyje w nim mądrość ukryta, któréj powodzenie nie olśni i nie owładnie. Wzrok jego zdaje się tylko w ziemię utkwiony, serce odczuwa boleści i rozkosze śmiertelnych,—a jednak każdy wielki poeta może śmiało powiedzieć światu wskazując siebie i swoje dzieła: „Wejdźcie, gdyż i tu są bogowie" *Introite, nam et hic dii sunt.*

Gdyby wyłączono z poezyi lirycznéj Niemiec wszystkie ody i pieśni polityczne, ogołoconoby tę prześliczną koronę jeśli nie z najświetniejszych jéj klejnotów, to przynajmniéj z wielu drogocennych pereł. Lutnię Herdera, Uhlanda i Freiligratha patryotyzm natchnął szlachetnemi tonami, harmonią pełną wdzięku i siły. Któż nie wie, że w 1813 r., w tych dniach krwawéj i świetnéj pamięci, kiedy naród cały podniósł się aby zrzucić nieznośne jarzmo, kilku z jego synów potrafiło śpiewać z bagnetem w ręku i umierać śpiewając? Jeden tylko Goethe pozostał obojętny i niewzruszony wśród wielkiéj burzy wstrząsającéj jego ojczyzną. Niemcy powstające wydawały mu się domem waryatów, w którym jego wszechmądrości nie było wygodnie. Wierzył on w niezwyciężoną gwiazdę Napoleona. „Niech wstrząsają jak chcą kajdanami, wzruszyć ich nie potrafią; ten człowiek jest na nich za wielki." Nietylko nie wierzył w powodzenie, ale brzydził się wszelkim fanatyzmem i nienawiścią, wszystkiém co ścieśnić może i myśl zamąca. Kiedy grzmiały armaty na polach Lipska i Waterloo, Goethe w cichém ustroniu wczytywał się w perskie poezye Hafiza, którego *gazele* podszepnęły mu jeden z najpiękniejszych poematów wschodnich *Dywan.* Pozostawił nowicyuszom sztuki, talentom nieznanym, pracę sławienia ojczyzny, bitew o niepodległość, upadku przemocy. Ich pieśni niemile brzmiały dla jego olimpijskich uszu; wolał Sulejkę i westchnienia hurysek. A jednak ci pieśniarze stworzyli hymny mające prawo do życia; ta poezya wojownicza, którą czuć prochem, w któréj drga powiew burzy i blaski piorunów świecą,—nie dosięgła może doskonałości formy, ale posiada zapał, energię, wymowną szczerość. Jeżeli *Dywan* jest nieśmiertelném dziełem, Teodor Koerner ma swoją wartość, i po wsze czasy każdy ze wzruszeniem posłucha, co ten dwudziestodwuletni bohater idąc szukać śmierci na polu bitwy, mówił do swéj szpady.

W 1870 roku podobnie jak w 1813 r. wojna miała swych poetów, Gravelotte i Sedan nadzwyczajnie zbogaciły parnas germański. Nie było buletynu zwycięztwa, któryby nie poruszył do radosnego tańca lir i gitarek. Do armii czynnéj i stałéj poetów niemieckich przyłączył się i *Landsturm,* i ochotnicy. Uruchomienie było ogólne, wszystko stanęło na nogach, a każdy dzielnie spełniał swoją powinność. Ci, co posiadali skromny flecik, starali się wzmocnić jego ton siłą dmuchania,—obdarzeni głosikiem aż zachrypli z wysilenia, a ci, co od początku śpiewali fałszywie, tłómaczyli się, że mają dobre chęci. Dzienniki były zalane wierszami, w których często szczęśliwy zbieg jambów, trochejów i anapestów naśladował aż do złudzenia huk armat i szarżę konnicy. Do tego wszystkiego wmieszał się i nieśmiertelny Arminiusz, który nigdy nie zaniedbywał przyjemnéj sposobności odżycia,—i bożek Thor przybiegający co tchu starczyło z Truduanguru, aby zagrozić Paryżowi swym straszliwym młotem. Jeden z krytyków niemieckich wykazywał niedawno tym rymotwórcom trzeciego rzędu, że sam patryotyzm nie wystarcza, że podobnie jak nerwem wojny są pieniądze, nerwem poezyi powinienby być talent. Mogliby odpowiedzieć słowami jednéj z postaci Heinego: „jedni poeci mają głębokość myśli, inni fantazyę, inni jeszcze uczucie,—my zaś mamy cnotę. To nasze jedyne dobro!"

Tymczasem poeci rzeczywiści, którym nie brak ani myśli, ani fantazyi, wzięli udział w tym hałaśliwym koncercie, a głosy ich przygłuszyły wkrótce wszystkie inne. Zaczęli śpiewać wierszem wdzięcznym i harmonijnym zwycięztwa armii niemieckiéj i sławić z pewnym rodzajem religijnego entuzyazmu wskrzeszenie cesarstwa. Niektórzy z nich mogliby się słusznie pochlubić, że oddawną już zwiastowali ten wielki wypadek dziejowy, że ich wzrok proroczy przewidział Jerozolimę powstającą z popiołów i pomazańca Pańskiego wkładającego na głowę koronę chwały.

Poetów tych, co mieli oczy wieczyście zwrócone w słońce sławy, serce stęsknione do zapasów wojennych mających wywalczyć dla Niemiec przewagę wśród świata,—poetów świetności, blasku i próżności germańskiéj — nazywa p. Cherbuliez wspólném mianem *cezarystów.* Rzeczywiście punktem kulminacyjnym marzeń i pragnień tych natchnionych synów Germanii było zawsze cesarstwo powstające wśród huku armat i trwogi drżących ludów. Wpatrzeni w jeden punkt na widnokręgu, punkt błyszczący a niedościgły, który olśniewał ich słaby wzrok,—wyciągali ku niemu dłonie jak dzieci i wołali do narodu niemieckiego: „Tam dążcie, tam jest prawda, szczęście i moc,—a jeżeli po drodze przelać będziecie musieli krwi potoki, chwała wasza stanie się tém potężniejszą!"

Głosy takie z początku ciche i pojedyncze, późniéj coraz silniejsze i liczniejsze, brzmiały w Niemczech przeważnie od 1840 roku. Poeci rozmawiali z krukami unoszącemi się nad tajemniczym grobem, w którym tak długo śpi Rudobrody, i pytali: kiedyż nareszcie zbudzi się wielki władca, aby ze szczytu gór ukazać poświęconą do korony głowę nowego cezara, co spòi ogniwa zerwanego łańcucha dziejów, zwróci Germanię na drogę jéj przeznaczeń i otworzy przed nią na oścież wrota przyszłości? „Niestety!—wołał Heine, kończąc *Atta Trolla*—oto może ostatnia swobodna piosenka muzy romantycznéj. Zginie ona wśród wrzawy i krzyków dzisiejszych Tyrteuszów. Inne czasy, inne ptaki! Boże, jakiż pisk!... możnaby sądzić, że zmartwychwstały gęsi kapitolińskie. Jakiż szum?... to wróble z zapałkami w dziobach, chcące pozować na orły niosące gromy Jowiszowe. Jakiż gwałt!... to gołębie znudzone kochaniem więc chcące nienawidzieć, porzuciły rydwan Wenery i zaprzęgły się do ciężkiego wozu Bellony. Tak! inne czasy, inne ptaki—inne ptaki, inne pieśni! Mogłyby mi się podobać, gdybym miał inne uszy..." To było pisane w 1841 r.

Po tym ogólnym wstępie, przechodzi p. Cherbuliez do szczegółowéj charakterystyki poetów cezarystów. Pomijamy tu proroctwa niektórych, wypowiedziane na wiele lat przed ostatnią wojną, a głoszące jednym pompatycznym tonem że „przyjdzie dzień, w którym i t. d." Przechodzimy wprost do poglądu na ostatnie prace trzech najwięcéj znanych poetów z téj kategoryi żyjących i śpiewających dotąd ku chwale zwyciezkiéj Germanii.

Pierwszeństwo należy niezaprzeczenie Rittershaus'owi, autorowi „Nowych poezyi" (Neue Gedichte), urodzonemu w Elberfeld, w Westfalii, téj ziemi rozkosznéj, ojczyźnie dębów, Witykinda, Teuta, stałéj miłości i oczu niebieskich. P. Rittershaus jest prawdziwym poetą. Posiada uczucie szczere i głębokie, łagodny dźwięk, czasem błyskawiczną siłę. W kilku najcelniejszych swoich utworach umiał on nawet pochwycić tajemnicę mistrzów poezyi niemieckiéj, polegającą na

wyrażaniu myśli potężnych i najskrytszych uczuć serca w słowie prostém, łatwém, zachwycająco poufałém. Poeci innych narodów mają po większéj części talent opisowy lub krasomówczy; lubią sławić naturę i jéj uroki, albo też, biorąc ją za powiernicę zwierzają przed nią boleści i radości swoje. W prawdziwéj pieśni niemieckiéj mówi i śpiewa sama natura, ta wieczysta marzycielka. Ona objawia poecie to, co wie lub przeczuwa z tajników bożych,—a poeta, wierny tłómacz, przekłada tylko na język śmiertelnych urywane szepty wiatru i lasu, nieme rozmowy księżyca z ziemią, lub żałosne pienia zakochanego słowika. Goethe, Uhland, Heine podobni są do tych rycerzy legendowych, którzy po zażyciu kilku kropli krwi smoczéj, zrozumieli nagle mowę ptaków, gwiazd i kwiatów. W poezyach tych mistrzów rzeczy mówią same za siebie;— poeta usuwa się na stronę i rozważa. Często cztery wiersze z rymem lub bez rymu wystarczały im do wypowiedzenia całego świata idei i prawd mądrych. Gdyż rzeczy nie są jako ludzie ruchliwe i rozmowne, ale przeciwnie zamknięte w sobie, skupione i ciche. Wdziękiem właściwym poezyi niemieckiéj jest tajemniczość, w instrumencie jéj nieco stłumionym spoczywa cisza uroczysta, która do marzeń budzi.

P. Rittershaus jest więc poetą rzeczywistym, ale za to nie jest prawdziwym cezarystą. Jakkolwiek bojowe surmy, które rozległy się od krańców do krańców Germanii, natchnęły muzę tego pieśniarza znaczną dozą zwycięzkiego szału, jednak ta niespokojna i kapryśna bogini nie pozwoliła owładnąć sobą zupełnie, zachowując w hałaśliwych nawet hymnach tryumfalnych pewne tony czyste, swobodne, niezależne. Muza p. Rittershausa nie mogła przecięż zapomnieć, że w 1862 r. pozwoliła sobie śpiewać chwałę koronowanéj głowy wielkiego myśliciela Fichtego, i pragnąć, aby duch filozofa-republikanina przeniknął cały naród germański. *Cezaryści* zaś odwracali zawsze ze wstrętem oczy od wszystkiego co w najdalszych choćby stosunkach pozostawało z filozofią. Ślepe uwielbienie powodzenia i potęgi wyłącza z góry wszelką możliwość krytyki rozumowéj. Pierwszą zatém cechą cezarystów jest bezwarunkowa a gorąca adoracya przedmiotu ich miłości. P. Rittershaus poważył się do radosnego *hosanna* przyłączyć kilka rad i zastrzeżeń. A przytém pogarda Welchów ten drugi konieczny przymiot poetów urzędowych nie jest u autora „Nowych poezyj" bezwzględną. I jeżeli chwilami uniesienie patryotyczne kazało mu zapomnieć o sprawiedliwości względem zwyciężonego narodu, w wielu natomiast ustępach swych pieśni p. Rittershaus umie wznieść się po nad przesądy i namiętności plemienne. „Walczyłaś niegdyś za prawdy wieczyste, byłaś prorokinią ludzkości!"—woła do Francyi. I w ślad za tą myślą dodaje znowu: „Groźby i nienawiści nasze nie odnoszą się do ciebie Francyo, która podnosisz chętnie sztandary idei i któréj krew płynęła w nocy grudniowéj!" Jednocześnie poeta każe Germanii zamknąć uszy na poszepty pochlebców,—zaprzestać ubóztwiania własnych cnót i zasług, cenić dobro i prawdę niezależnie od względów osobistych i... „na podobieństwo pszczoły zbierać balsam ze wszystkich kwiatów, które kwitną na wielkiém drzewie ludzkości." Tych pięknych słów nie zapomni potomność, a sam p. Rittershaus, odczytując swe ostatnie dzieło, uzna zapewne niektóre z „Nowych poezyj" za zbyt przestarzałe, (*d. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— Na kongresie Towarzystwa antropologicznego niemieckiego odbywanym zeszłego miesiąca w Stuttgarcie, słynna teorya małpiego pochodzenia człowieka, opiewana ze szczególniejszym ferworem przez Vogta, była w niemałych obrotach. Pierwszy cios drzewu genealogicznemu Vogta, wyrastającemu z brzucha szympansa, zadał professor uniwersytetu tubingeńskiego Luschka. Wiadomo, że Vogt oddał nauce rzeczywistą przysługę, porównywając wszystkie znane do jego czasów czaszki małogłowych potworów ludzkich, czyli tak zwanych w medycynie „mikrocefalów;" ale właśnie z tego porównania bujna fantazya uczonego a zarazem agitatora wysnuła owo małpie pochodzenie człowieka. Otóż Luschka mu dowiódł, że w wywodzie swoim małpiego początku człowieka zapomniał o bardzo ważnych przepisach rozumowania indukcyjnego: mianowicie porównywał tylko wymiar czaszki i objętość mózgu człowieka i małpy, i ztąd na podstawie atawizmu czyli wracania do form pierwotnych, jak np. bywa z podobieństwem twarzy prawnuka do pradziada, wyprowadzał człowieka od małpy, zupełnie zaś zapomniał o porównywaniu charakteru mózgu człowieka z charakterem mózgu małpy. Krótko mówiąc miał na względzie rzecz podrzędniejszą, ilość, zaniedbywał zaś rzeczy o wiele ważniejszéj, jakości; zaprzątał się tylko wymiarem czaszek, a nie miał czasu na rozpatrywanie samego mózgu. Tymczasem prof. Luschka wystąpił przed zgromadzeniem z obserwacyą tego, czego zaniedbał Vogt, dowodzącą rzeczy wcale przeciwnéj jego teoryi. Przedmiotem obserwacyi był mózg 18-letniéj Małgorzaty v. Stetten, osoby krzepko zbudowanéj, lecz mającéj głowę nadzwyczaj szczupłą i pod względem umysłowym stojącéj na najniższym stopniu niedołęztwa. Mózg jéj stanowił zaledwo trzecią część naturalnéj wielkości osoby normalnie rozwiniętéj, a przytém jeszcze móżdżek uważany przez fizyologów za siedlisko życia zwierzęcego miał prawie zwykłą wielkość, tak, że całe niemal zmniejszenie objętości przypadało na półkule właściwego mózgu uważające się za siedlisko intelligencyi. Jakoż ten rozdział czynności pomiędzy mózgiem i móżdżkiem można było upatrywać i w osobie Małgorzaty v. Stetten: muskuły jéj w rozwoju swoim nie doznały żadnego uszczuplenia, a życie fizyczne i umysłowe równało się prawie zeru. Taki egzemplarz oczywiście najlepiéj byłby powinien się przydać do poparcia teoryi Vogta; lecz okazało się zupełnie co innego. Pomimo całego upośledzenia rozwoju, mózg téj istoty był zawsze mózgiem ludzkim, i w składzie swoim nie miał żadnego podobieństwa do mózgu małpiego. Po Luschce wystąpił z drugim dowodem w ręku znakomity uczony Virchow, który zresztą i przedtém już nieraz się odzywał, że teorya Darwina jest bardzo świetna jako teorya, lecz dotąd na jéj poparcie nie ma stanowczych argumentów. Virchow nie schodząc ze szczerze naukowego gruntu patologii i zoologii, wykazał, że między upośledzeniem takiém jak zmniejszenie mózgu a atawizmem nic nie ma wspólnego, że pierwsze jest zwichnięciem prawa przyrodzonego rozwoju, gdy drugi właśnie jest tego prawa urzeczywistnieniem, oraz że Vogt zbudował swoją teoryę na pomieszaniu patologii z zoologią. Trzeci dowód przyniósł Ecker, który na zasadzie własnych doświadczeń okazał podobnież jak Luschka, że mózg mikrocefalów przy jakiéjkolwiek choćby najmniejszéj objętości nigdy nie przestaje być ze składu swojego mózgiem ludzkim i nic nie ma wspólnego z mózgiem małpim. Nakoniec czwarty dowód złożył Jaeger na zasadzie wieloletniego doświadczenia z krzyżowaniem w ogrodzie zoologicznym: ten podobnież jak Virchow nie znalazł nic wspólnego między atawizmem, który jest oznaką zdrowia, a szczupłością mózgu, która jest dziełem choroby. Zgromadzenie w końcu przyszło do wniosku, że Vogt powinien dać pokój przywoływaniu mikrocefalów na poparcie swéj teoryi małpiéj. Wieczorem zaś po posiedzeniu, gdy się zebrano w kursalu i ożywiono przy stole, zawyrokowano, że niech już człowiek pochodzi raczéj od mammuta aniżeli od małpy. Dowieść tego dokumentami będzie trudno, ale nie trudniéj niż pochodzenia od małpy, — a zawsze to zaszczytniéj pochodzić od tak wielkiego zębacza jak mammut, niż od tak lichego bezogońca jak szympans.

— Jest uprzedzenie, że sztuki tam tylko kwitną, gdzie się znajduje bogata i wykształcona arystokracya; na dowód przytaczają Wenecyę i Florencyę, w których arystokracya i książęta rzeczywiście wiele robili dla architektury, rzeźby i malarstwa. Nie zawsze jednak arystokracya nawet najbogatsza może się przykładać do dźwigania sztuki, skoro inne warunki wzrostowi jéj nie sprzyjają; na dowód można przytoczyć Anglię z jéj arystokracyą najbogatszą w świecie. Z drugiéj zaś strony szczodrym arystokratą dla sztuki może być cały naród rozmiłowany w pięknie, jak owa gminowładna Grecya starożytna, dotąd wieczną młodością żyjąca w swych budowach i rzeźbach. Czy Francya republikańska pójdzie za tym przykładem, tego rozumie się przepowiadać z góry nie można; zdaje się jednak, iż naśladować go zamyśla. Z ostatniéj wystawy sztuk pięknych w Paryżu, francuzki zarząd sztuk pięknych zakupił obrazów i rzeźb za 400,000 franków; trzy czwarte części téj summy zapłacono za obrazy, pozostałą zaś część za rzeźby. Kwota to jak na kraj zniszczony przez wojnę i płacący pięć miliardów kontrybucyi, wcale niemała; a co większa, każdy najuboższy wyrobnik, płacący choćby tylko podatek od zapałek, może słusznie utrzymywać, iż drobnym ułamkiem centyma przyłożył się do popierania sztuki krajowéj.

OD WYDAWCY.

W początku przyszłego kwartału rozpocznie się w „Wieńcu" druk powieści J. I. Kraszewskiego, pod tytułem: **„Sprawa Kryminalna."**

Wieniec wychodzić będzie w czwartym kwartale 1872 roku w tym samym formacie i treści, jak dotąd: **dwa razy na tydzień** jak najregularniéj **we Wtorek i Piątek** każdego tygodnia.

Prenumerata Wieńca wynosi:

w Warszawie:

Rocznie rs. 5 kop. 40, kwartalnie rs. 1 kop. 35.

na prowincyi:

Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2.

Wieniec wraz z Encyklopedyą

kosztuje w Warszawie:

rocznie rs. 9 kop. 40, kwar. rs. 2 kop. 35.

na prowincyi:

rocznie rs. 13, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 14 (26) Сентября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.